

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 27 KWIETNIA 1929 ROKU

NR. 17

TREŚĆ NUMERU: Kobiety wobec nowego kodeksu honorowego—*J. Jezierska*. Czy nie zawielki skok?—*W. Tropaczyńska*. Poezje: „Nike Samotracka”—*Felicja Kruszevska*. Zawalidroga — *Herminja Naglerowa*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Święta Katarzyna Sieneńska — *Paula Lamowa*. Nowe kobiety Czechosłowacji—*Jadwiga Krawczyńska*. Magja słońca—*S. P. O.* List z Ameryki — *Anna Firley*. Z książek — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świetle i w domu — *S. P. O. i N. J.* Jak pracują kobiety—*Zofja Miszevska*. Ceremonja i jego źródło—*L. Gerlachowa*. Placówki gospodarcze dla kobiet — *M. Karczevska*. Sroga zima a rośliny (dok.) — *Stan Schönfeld*. Wychów kurcząt przy pomocy naświetlania lampą kwarcową—*A. D.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Magja toaletowa — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

KOBIETY WOBEC NOWEGO KODEKSU HONOROWEGO

Kobiety polskie mają stanowczo psychikę od reszty swych współrodaków odrębną.

Utarło się już bowiem złośliwe powiedzenie, że gdzie jest dwóch polaków, tam są trzy zdania; tymczasem łatwo się przekonać, że wśród kobiet jest inaczej, zwłaszcza w kwestjach zasadniczych, dotyczących znaczenia stanowiska kobiety w naszym społeczeństwie.

Podjmując w artykule moim, w Nr. 5 „Bluszczu”, sprawę honorowej odpowiedzialności kobiet, parokrotnie już w piśmie tem poruszaną, byłam przygotowana, że może znajdą się kobiety, o przekonaniach bardzo konserwatywnych, lub poprostu nieprzystosowane psychicznie do przyjęcia na siebie pełni odpowiedzialności dorosłego człowieka, które przeciwko tej zasadzie zaprotestują.

A wolno mi było tak myśleć, gdyż sprawa nie jest wcale łatwa, więcej: jest ona jedną z tych drażliwych kwestyj, które każdy indywidualnie odczuwa i co do której każdy ma inne zdanie. Pojmowanie bowiem honoru i odpowiedzialności jest bardzo różne. Każdy, kto dotknął się choćby prac przy dyskusyjnej obecnie reformie postępowania honorowego, wie dobrze, jak głębokie różnice zachodzą w zdaniach wielu ludzi na punkcie formy satysfakcji honorowej. A jest to przecież tylko forma, rzecz, zdawałoby się, łatwiejsza. Tu zaś chodziło o bardzo ważką i nową zasadę.

Tymczasem, ani jeden głos przeciwko zasadzie tej się nie podniósł. Wszystkie czytelniczki, które wypowiedziały się w „Naszej Mównicy”, uznały sprawę honorowej odpowiedzialności kobiety za rzecz niezbędną, nie podlegającą dyskusji. Były wśród tych od-

powiedzi krótsze i dłuższe, niektóre obszernie motywowane; były i głosy zbiorowe, jak list pań urzędniczek Sądu Okręgowego w Sosnowcu, a część zaledwie tych opinii została wydrukowana, wiele z nich bowiem nadeszło w listach, stwierdzających tylko lakonicznie samą zasadę, a więc nie nadających się jako artykuły do druku.

Pozatem, miałam wielokrotnie sposobność słyszenia w tej sprawie zdań znacznej liczby kobiet, na różnych stanowiskach społecznych, znanych działaczek, członkiń rozmaitych stowarzyszeń — wszystkie jednogłośnie wypowiadały się w tym samym duchu: — kobieta musi uznać się sama i zostać uznaną przez ogół za honorowo odpowiedzialną.

Zasada została więc postawiona i pod tym względem niema wątpliwości.

Corzej, niestety, jest ze sposobem wprowadzenia tej zasady w życie, z obmyśleniem odpowiedniej formy satysfakcji w wypadku obrazy.

W zakończeniu mego artykułu „Trzeba przemówić” podałam, jako materiał do orjentacji i dyskusji, szereg pytań, z których dwa podstawowe, poza samą sprawą uznania odpowiedzialności honorowej kobiet, miały, jako cel, właśnie określenie tej formy, zarówno jak rozszerzenie jej na ogół spraw honorowych w myśl zwalczania pojedynków.

W tym przedmiocie odpowiedzi czytelniczek nie przyniosły wiele materiału, aczkolwiek były między niemi pomysły bardzo trafne i idące zupełnie po linii akcji, podjętej przez grono kompetentnych prawników w nowo zorganizowanej Lidze Reformy Postępowania honorowego; zwłaszcza odpowiedzi na pytanie: jaka forma udzielenia i uzyskania satysfakcji

honorowej byłaby najodpowiedniejsza dla kobiety? — większość pań stwierdza, że sprawa wymaga poważnego zastanowienia i że... kobiety nie przemyślały jej jeszcze głębiej, nie wiedzą, w jaką szatę ubrać ten „nowy dorobek“, jakim jest dla nich odpowiedzialność honorowa.

Wszystkie bezwzględnie odpowiedzi wykluczają zgóry, rzecz prosta, pojedynek, jako formę satysfakcji honorowej dla kobiet.

Ale — co postawić na jego miejsce?

Wysunięto projekty: przeproszenia lub przyznania się do winy w prasie, odpowiedzialności przed sądem honorowym lub koleżeńskim. Jedna z pań oceniła bardzo trafnie sytuację w tych wypadkach, gdy kobieta jest stroną obrażającą. Czytelniczka ta stwierdza, że kobieta grzeszy głównie brakiem odwagi cywilnej: rzadko powie komuś coś obrażającego w oczy, zwykle pracuje za... kulisami. Wobec tego, należy żądać powtórzenia słów uchybiających przy świadkach i w tych samych warunkach wymagać przeproszenia i odwołania obrazy.

Jeden tylko głos zażądał *zwiększenia kary za obrazę czci*, zapewne więc — gdyż nie zostało to ściślej określone, podwyższenia istniejących dziś w tej dziedzinie sankcyj karnych.

Na pytanie drugie: czy i jak należałoby rozszerzyć zmienioną formę satysfakcji honorowej na ogólną metodę postępowania honorowego, dla zniesienia pojedyneków? — nie dała żadna z kobiet odpowiedzi.

Na pociechę, możemy sobie powiedzieć, że sprawa, jak już zaznaczyłam, jest bardzo trudna.

Pojedynek jest barbarzyństwem, jako zabytek czasów średniowiecznych, a właściwie średniowiecznego zabobonu, że w każdym prywatnym sporze interwenjował osobiście najwyższy czynnik — wola boża i rozstrzygał sprawę na korzyść niewinnego; jest nie tylko występkiem, ale i nonsensem z punktu widzenia etyki i sprawiedliwości, gdyż często niewinny i obrażony pada ofiarą — to wszystko prawda; z drugiej strony jednak ma on za sobą atawistyczną moc tradycji, siłę bardzo ważką, której nie można nie doceniać, i czynnik natychmiastowej egzekutywy w myśl życzenia obu stron — rzecz również nie do pogardzenia. Zapewne, że nikt nie wzdycha do tego, aby zostać zabitym, lub rannym, ale z chwilą, gdy obie strony — a tak dzieje się właśnie mocą przekonania, wyrobionych tradycją — uznają, że satysfakcję da im jedynie walka, są wtedy z tej formy satysfakcji zadowolone!

Ten moment stanowi właściwą satysfakcję, bo w dzisiejszym stanie kultury, nawet u mężczyzn rzadko chyba zachodzi chęć uśmiercenia lub ciężkiego skrzywdzenia przeciwnika. Sądy honorowe, korporacyjne, koleżeńskie i t. p. — tej natychmiastowej egzekutywy dania satysfakcji nie posiadają i dlatego sprawa zniesienia pojedyneków idzie tak opornie w społeczeństwie męskim.

Dla kobiet rzecz jest o wiele łatwiejsza, gdyż w psychice naszej nie zakorzeniło się przekonanie, że walka jest satysfakcją i dlatego nowa forma zadośćuczynienia w postaci odwołania obrazy, przeproszenia, stwierdzającego niesłuszność zniewagi, wyrok sądu honorowego i t. p. — niczem nas nie razi.

I jeszcze jedno ułatwienie: — oto między kobietami, stojącymi na pewnym poziomie kulturalnym, nie zajdzie nigdy fakt zniewagi czynnej, który u mężczyzn, nawet kulturalnych, zdarza się, niestety, i wobec którego każdy sąd honorowy staje bezradny.

Z tych wszystkich względów, forma honorowej odpowiedzialności kobiety nie jest problemem nie do rozwiązania. Należy tylko przy każdym stowarzyszeniu utworzyć sąd honorowy, powołany do załatwiania zatargów między członkiniami. Sądy podobne istnieją już w wielu stowarzyszeniach zawodowych, męskich i mieszanych, chodziłoby tylko o to, aby istniały wszędzie.

Sąd taki, którego kodeks i procedura postępowania byłyby oparte na opracowywanym obecnie nowym kodeksie Ligi Reformy postępowania honorowego, orzekałby o rodzaju zadośćuczynienia w wypadku obrazy, rozstrzygając, czy ma to być przeproszenie prywatne, czy publiczne, odwołanie i t. p., i kwalifikując zarazem naturę postępcu. Do atrybutów takiego sądu należałoby również ewentualne, dłuższe lub krótsze, wykluczenie strony winnej ze stowarzyszenia i publiczne ogłoszenie wyroku.

Wygląda to groźnie, nieprawdaż? I można rzeczywiście, że sama perspektywa takiej procedury wpłynie uspokajająco na zbyt gwałtowne temperamenty i skłoni je do rozwagi, hamowania złego humoru lub złego języka i honorowego — w myśl tego, co Anglicy określają słowem „gentlemanlike“, czy „ladylike“ — postępowania ze wszystkimi.

Tembardziej, że mężczyzna mógł zawsze, dotychczas przynajmniej, zlekceważyć sobie wyrok sądu stowarzyszeniowego — miał w odwodzie pojedynek. I gdy załatwił sprawę na tej drodze, nikt nie mógł uznać go za niehonorowego. Dla kobiety ten środek nie istnieje i dlatego każda będzie zmuszona liczyć się z orzeczeniem takiegoż sądu, jeśli nie będzie chciała zostać zdyskwalifikowana przez opinię. Jeżeli zaś stroną obrażającą kobietę będzie mężczyzna, to, nie mogąc dać jej satysfakcji z bronią w ręku, tembardziej będzie podlegał wyrokowi sądu honorowego. Są jednak kobiety, nie należące do stowarzyszeń — co zrobić w tym wypadku?

Jeżeli taka osoba zostanie obrażona przez członkinię, lub członka jakiegoś stowarzyszenia, będzie tam poszukiwała satysfakcji, stawiając stroną obrażającą przed sądem jej korporacji; jeżeli jednak strona ta, lub obie, nie należą do żadnego stowarzyszenia? I na to jest rada.

Ponad sądami stowarzyszeń należy utworzyć trybunał czci, złożony w połowie z przedstawicieli

zrzeszeń, w połowie z ludzi, znanych z prawości i szanowanych w społeczeństwie, którzy reprezentowałiby ogólną opinię publiczną. Taki trybunał wydawałby swe orzeczenia, jako głos rozumnej i uczciwej opinii, i miałby prawo sądenia spraw nawet osób, stojących poza zrzeszeniami. Byłby on jednocześnie sądem apelacyjnym, do którego odwoływałyby się sądy stowarzyszeń w wypadkach specjalnie trudnych i ważnych, spornych, lub kwestjonowanych przez strony.

To jest plan działania na dziś, dla honorowych spraw kobiet. Plan zupełnie możliwy do urzeczywistnienia i który trzeba przeprowadzić. Jeżeli potrafimy to zrobić konsekwentnie i poważnie, dopomożemy tem samem drugiej sprawie, ogólnej — zwalczania pojedynków i wprowadzenia ujednolitego dla obu płci kodeksu honorowego.

Nie będzie to łatwe; nie ludźmy się, aby poszło odrazu — nie! ale przyjdzie do tego.

Przedewszystkiem, mężczyzna w sprawie honorowej z kobietą nie będzie wyzywał jej męża, brata lub syna, ani nie zostanie przez tychże wyzywany — zmniejszy to już poważnie ilość spraw honorowych męskich. A dalej? Dalej dążyć należy do zwalczania niezdrowej tradycji pojedynku.

Bo tylko o to chodzi. Nie dojdzie do skutku żaden pojedynek, gdy młodzież zostanie wychowana w zasadzie, że wymiana kul lub walka na białą broń nie stanowią satysfakcji, ani dowodu honoru, i gdy cała opinia taki fakt potępi. Do tego dąży dzisiejsza reforma przez kodeksy i opinie stowarzyszeń, obejmujących dziś większość obywateli.

Pozatem, utworzyć należy trybunał czci, o prawach trybunałów państwowych, obdarzony egzekutywą karną dla osobników, które nie uznałyby opinii publicznej, i dla wypadków specjalnie ciężkiej zniewagi. O utworzenie takiego trybunału starać się powinny, narówni z męskimi i mieszanymi, wszystkie zrzeszenia kobiece i posłanki.

Warunkiem kardynalnym przeprowadzenia tej reformy jest, aby ogół kobiet przygotował się do niej przez poważne przemyślenie i aby w myśl jej rozpoczęł już działać wszędzie — zarówno w życiu publicznem, jak prywatnem, w rodzinie.

Kobieta jest bardzo ważkim czynnikiem w opinii publicznej; niechże potrafi wykorzystać to swoje stanowisko na rzecz zniesienia barbarzyńskiego obyczaju i wprowadzenia do stosunków społecznych ładu, etyki i sprawiedliwości.

J. Jezierska,

W. TROPACZYŃSKA

CZY NIE ZA WIELKI SKOK?

Odnosnie do mego artykułu, zamieszczonego w Nr. 6 „Bluszczu“ r. b. p. t. „Zaniedbana placówka“ otrzymałam list, w którym między innemi znajduje się takich zdań kilkoro:

„Sprawa, którą Pani tam poruszyła, jest życiowa, realna i aktualna. Ale nie jest tak źle! Sprawa zorganizowania wędrownych kin dla wsi już wchodzi na tory urzeczywistnienia. Czynniki rządowo-rolnicze już ten dział propagandy kultury uruchomiły. Chłop, biedujący na roli, musi znaleźć ratunek w oświacie rolniczej, musi poznać swój warsztat pracy — ziemię; jej wymagania, możliwości i zasady jej racjonalnego wyzyskania. Film będzie jednym z czynników tej oświaty. W Polsce zachodniej już w chwili obecnej filmy takie są wyświetlane. Zajmują się tem Instruktorzy rolni, Kółka rolnicze i t. p., i chłop tutaj w całej pełni korzysta ze zdobyczy naukowych podstaw rolnictwa. Uważam, że filmy inne, nierolnicze, na wsi obecnie nie są jeszcze pożądane.

Jakże więc wygląda film rolniczy? Film taki uczy poglądowo, jak zorganizować gospodarstwo, jak je prowadzić w najdrobniejszych szczegółach, jak wielką siłą jest kooperacja na wsi; kooperacja, która obejmuje najważniejsze dziedziny życia chłopów: bro-

ni go przed wyzyskiem handlarzy; zapewnia mu korzystny zbytny produktów, dostarcza kredytu i nowoczesnych środków uprawy roli. Wreszcie film rolniczy pokazuje, jak żyje chłop duński np. — chłop zagranicą; że ma elektryczność, telefon i radio — to wszystko olśniewa, porywa naszego chłopca — widza. Ale trzeba jeszcze dość długo czekać, zanim filmy tej treści zawędrują pod białoruską strzechę. Czekajmy. Idą one już od zachodu. A tymczasem niech miarodajne czynniki zajmą się oświeceniem ciemnego chłopskiego umysłu, niech swoje robi szkolnictwo powszechne, by, idąc po dzisiejszej swej wytycznej linii, przygotowało grunt do bliskiego momentu wielkiej propagandy kultury gospodarczo - rolniczej“.

Czekajmy tedy i w międzyczasie róbmy swoje. Nie jest tak źle, jak oto kiedyś pisałam? zgoda, ale nie jest i tak nadzwyczajnie dobrze. Zasadniczo, bowiem, wieś taka, jaką jest dzisiaj, — czy to będzie wieś zachodnia, południowa, czy wschodnia, — filmu dla siebie nie ma. Ów film rolniczy - gospodarczy czy aby robi swoje? czy czasem nie jest zbyt mądry i zbyt olśniewający? I czy ukulturalnienie gospodarstwa — to jedyna potrzeba wsi i czy naprawdę filmy inne, niż ten, treści są dziś dla wsi niepożądane?

A cały balast wymagań człowieka zupełnie przeciętnego, ale cywilizowanego, wymagań, których chłop przeważnie nie zna, ale które, jako człowiek, znać i poznać wkrótce musi — pominąć należy milczeniem? I czy kwestyj higieny, tak haniebnie na wsi ignorowanych, nie trzeba by przypadkiem wyłożyć masom i przedłożyć do zrozumienia na ekranie właśnie? A owo pokątne leczenie się u bab o podejrzanej kondycji — tragedje bezgłośnie i popularne ginących i jakże często marniejących dzieci, co to je baba leczyła, ale nie „nada było wyleczyć” — czy nie zmalałyby one do minimum, gdyby je prześwietlono i dokumentnie przejrano na ekranie?

Myślę, że takie właśnie obrazy z dziedziny tych „innych” byłyby jednak na teraz ze wszechmiar pożądane choćby dlatego, by ułatwić pracę owym miarodajnym czynnikom, co to swe dusze rozsiewają po ugorach chłopskiego brudu.

Czytając ów nadestany mi list, byłam uderzona jego jednostronnością. To zupełnie tak, jakbyśmy wychowując dziecko, kładli mu w głowę tylko i wyłącznie wiadomości, związane z jego przyszłym zawodem, pomijając milczeniem kwestje przyszłego ustosunkowania się tego dziecka do ogółu, ważkie kwestje higieny osobistej i „podwórkowej”, żywotne sprawy rozwoju ogólnego i równomiernego. Wiem i rozumiem, że chłop, jako rolnik, musi się zapoznać ze swoim warsztatem pracy. Czas skończyć z dotychczasowym dyletantyzmem rolnym, grasującym na terenie chłopskiej części, czy morgi; czas i tu wprowadzić naukową organizację pracy. Ale także i to wiem, że dziecko chłopskie, nim zacznie pracować na roli, jako ojcowie pracowali, jest — dzieckiem — dziś puszczone samopas, nie wychowywanem w żadnym kierunku (chyba rzemieniem ojcowskim dla poskromienia żywego temperamentu), że nie ma najmniejszego pojęcia o higienie osobistej, czy mieszkaniowej, że systematyczne (sic!), choć bardzo powierzchowne mycie się zaczyna się z chwilą, gdy trzeba iść do szkoły, bo tam oglądają, a kończy się, gdy mija przymus, gdy szkoła przestaje funkcjonować, a na forum występuje dom, jego brud, niechlujstwo, abnegacja higieny zupełna. A i to wiem, że chłop dzisiejszy, to miejscami zdrowy i tęgi moralnie, słabo lub wcale nie orjentujący się w kwestjach żywota, wybiegających nieco poza obieg jego podwórka — prymityw, pierwocina, nastawiona jednak w kierunku raczej sprzyjającym rozwojowi na modłę nowoczesną.

Przyjędźmy doń z filmem rolniczo - gospodarczym, pokażmy, jak mieszka i żyje chłop duński, pokażmy jego radja, telefony, elektryczność... Czy aby nie za wielki skok? I czy nie należałoby zastosować metod pedagogicznych w myśl: po nitce do kłębka — i czy nie przydałaby się w tym punkcie szkolna wypróbowana indukcja?

Nie chłopu duńskiego życie! — na to czas przyjdzie później, — ale wprawdzie własne środowisko ukazać mu trzeba na ekranie. To będzie założenie sprawy kinowej. Powszechnie znana jest prawda popularnego przysłowia — o cudzem pod lasem, dostrzeżanem szybko, a brudzie swego podwórka, niewidzianym i niesprzątanym przeważnie nigdy. Kwintesencja z tego taka, że swoje błędy człowiek przeciętny pomija milczeniem, gdyż albo nie dostrzega ich, albo przyzwyczaił się do nich i nie razią one jego wymagań człowieczych. Tak i z naszym chłopem. Żyje w brudzie, żyje w niechlujstwie i błocku takim, czy innym... wie, że są ludzie, którzy bez tych dodatków błotnych żyją, zdaniem jego, szczęśliwie, po „pańsku”, wie, że gdzieś tam jest lepiej, — ale tego lepiej u siebie nie wprowadza, po „pańskość” nie sięga. A nie wprowadza i nie sięga nietyle dlatego, że nie potrafi, ale że poprostu nie jest mu źle z obecnym stanem rzeczy (nie znaczy to, by było dobrze), i w myśl aforyzmu „przyzwyczajenie — to druga natura”, jest tej naturze posłuszny.

Początkowa akcja wędrownych kin winna wziąć pod uwagę to zapatrzenie się chłopskie w swoje podwórko i wzrok jego wprost stamtąd skierować na ekran, gdzie ujrzałby (ale już dosłownie) to samo. Swoją brud, swoją nędzę, swoje wnętrza chat, swoje dzieci i swoje kłopoty. Po to, by i kino owe wędrowne, i pan, czy pani, objaśniający obrazy, stali się również swoimi, zdobyli zaufanie i zrobili wyłom w murze. A wtedy, ręczę, inaczej zareaguje widz jeden, czy drugi na zabiegi kulturalno - propagandowe nosicieli kagańców oświaty. Wtedy przyjdzie kolej na filmy inne, społeczno i kulturalno - oświatowe i popularne filmy gospodarcze.

A charakter tych filmów? Nie ekliwizm - nowinkowy i nie bezkrytyczne bicie w sedno wzorowości, uczciwości, solidności przesadnej i inne doskonałości. Ale zdrowy, realny obraz, z którego się i uśmieć szczerze można czasem, który żywą akcją przykuje uwagę, a sam przez się, swoją wyrazistością i uwypukleniem pewnych danych, każe chłopu wypośrodkować w konkluzji taką, czy inną wytyczną postępowania.

Subtelnym, ale trafnym komizmem uderzać w miejsca najsłabsze, wykazywać cechy takie, któreby, godząc w ambicję, jednocześnie budziły śmiech, — można wiele próchniejących w zabobonie twierdzeń rozsypać w gruzy. Reasumując tedy ogólne cechy obrazu dla wsi, wyliczę je pokrótce: treść, biorąca początek ze środowiska własnego, zataczająca potem coraz to szersze kręgi; jasność i rzeczowość w ujęciu danej sytuacji, kwestji, czy przykładu; znajomość terenu w jej charakterystycznych wypadkach przy obrazowaniu filmu; humor — w miarę subtelny, w miarę ostry i — znajomość psychologii widza, co bodaj obok kwestji jakości i cech filmu jest sprawą równo — jeżeli nie pierwszorzędną.

FELICJA KRUSZEWSKA

NIKE SAMOTRACKA

„Przebijam rzeźbione plafony,
pięknością ranie, jak grotem,
napelniam przestronne salony
przeciągłym, szumiącym lopotem.
Oto kamień odpycham stopami.
Przed wiekami stało się i jest gotowe.
Wiatr wieczności zdmuchnął mi głowę.
Jestem skrzydłami”.

„O Nike! Do Ciebie przychodzę,
na Twojej stanąć drodze.
To nieprawda, że mnie miodły schody,
ulice gwarne, ogrody,
posągi i malowidła.
Inne drogi do Ciebie prowadzą!
Przychodzę. Ze mną podziel się władzą.
Oddaj mi skrzydła!”

„Nie widzę cię. Żle mnie spotykasz.
Patrz, jak się wszystko odmienia.
Sercem piękności dotykasz,
słowo dotknęło kamienia.
Strącam cię z drogi skrzydłami.
na usta ci rzucam ciszę.
Skrzydłata jestem, nie słyszę,
nie słyszę, gdy mówisz słowami”.

„O cofnij skrzydła-morderce.
Pięknością zarażasz serce!
Twoją pięknością dziś świecę,
w miejscu stoję i lecę.
Dotknęłam sercem światła,
wiecznością oddycham i wierzę.
Zawrzyjmy ze sobą przymierze,
wysłuchaj mnie. Jestem skrzydłata!”

„Oplotły mnie skrzydła twoje,
swoich rozwinąć nie mogę.
Oto lecę i w miejscu stoję.
Wiedz, nie wcześniej ruszymy w drogę,
aż się staniesz sama pięknością,
aż się słowo wcieli i oniemi”.

„Gdzie mam Cię czekać?” — „Na ziemi!”
„Jak się złączymy?” — „Wiecznością!”



HERMINJA NAGLEROWA

ZAWALIDROGA

CZĘŚĆ I.

I.

Brzęk naczyń, który się słyszało aż tu w pokoju Franka, przeszkadzał więcej, niż kiedykolwiek. Franek dokładnie odróżniał dzwoneczkowy dźwięk szkła, ostre klaskanie talerzy, jazzbandowy łomot garnków i patelni. Gdy wreszcie przycichł kuchenny rumor, jeszcze szurały kroki Marty, niby niespokojne zwierzęta. Potem przez wiele minut trwał nabożny szept pacierza, jak tajemna zмова z kimś nieznanym. Franek niecierpliwił się, nasłuchując, bo każdy szmer przeszkadzał dziś i rozdrażniał. Nareszcie skrzyknęło łóżko pod wagą drożdżowego ciała Marty i już mocny oddech snu ciągnął się poprzez ciszę, jakgdyby ktoś przesypywał piasek — bezustannie, bezustannie.

Franek pomyślał:

— Dobrze jest spać!

Ale budzik tykotał chrapliwie i łyskał nikłową obwódką, niby złe, czuwające oko. Trzeba więc było znowu pozbierać myśli i znowu stwierdzać, że się pamięta i że właśnie pamięć zatrzyma wszystko bodaj do jutra. Oczy przymykały się i wtedy mżył brzask — różowa, zadowolona nieprzytomność przedśnienia. Ale przestraszony stukot serca rozdzierał nagle różową przestrzeń i trzeba było wydzwignąć się z senności skandowaniem, niby wybijaniem taktów marsza:

— O quid agis? Fortiter occupa portum!

I zanim jeszcze zdolało się dobiec do wydechu Horacowej strofy, już ruszyły, niczem kry na rzece — „ogólne poglądy“. Właśnie ten pozytywizm, drobnym maczkiem zasiany w jubileuszowych wydaniach. Więc prędko, prędko trzeba zebrać razem Prusa, Orzeszkową, Sienkiewicza i określić, ocenić dobrze wyuczonym frazesem. A zato dla siebie mieć uboczne widowisko: Wokulskiego, walczącego czerwonymi pięściami, albo drabiniasty wóz, na którym ktoś rosły, jasny śpiewa: „Ty pójdiesz górą...“.

Nie należało jednak zatrzymywać się zbyt długo ani nad określeniem, ani nad widowiskiem, bo już, jak ołowiany ciężarek na pionie, ważyło się mądre słowo — „realizm“. Tyle tylko — realizm! Nic więcej nie można było wydobyć z długiego, aż bolesnego namysłu i pamięć wycofywała się wstecz, zawstydzona i spokorniała. Szczęście zazielenił się skrawek kowieńskiej łąki, ścielącej się pod filareckie majówki. Stało się więc jasno i wszystkowiednie, jak w słońcu. Za chwilę fioletowymi pasmami wystrzeliły wgórę psalmy Krasińskiego, a dalej łamał się boleśnie Norwido-

wy wiersz i błysnęły w tęczowej obwódce wizje Wyspiańskiego. Tylko Słowacki był własny, nie szkolny, nie wykuty.

I nagle znowu — zamęt, popłoch, nieprzytomność! Co to jest to wszystko? Ten młyn huczący w ciszy, ta biała zawieszka, żeglująca miarowo na otwartym oknie?

„Eheu! fugaces, Posthume, Posthume
Labuntur anni...“.

Na chwilę udało się pochwycić żal niepowrotności i już jakby wiadoma stała się przemijalność lat, żalobny sens łacińskiej ody. Pośpiech wyrwał się z pod drzemającego ciężaru i pędził bez rytmu, już tylko treścią samą. Lecz znowu rozsiała się bielmem na źrenicach okienna zasłona.

Franek tyle tylko mógł zrobić, że podszedł do okna, szarpnął za sznurek i wtedy niespodzianie zderzył się z granatowym powietrzem nocy. Z kilku okien wypadało płatami światło i czepiało się liści drzew na podwórzu, że stały się srebrne, jak w studziennym kraju bajki. Wiaterek plątał się wśród ścian domu i aż tu dochodził zwietrzały zapach bzu. Franek zacisnął pięście i pogroził komuś, niewidzialnie wszystemu w jedwab nocy. Poczem rozśmieszył go własny, nikomu niestraszny gniew. Wrócił do biurka i wypił szerniałą, zimną herbatę, smakującą jak atrament. Wtedy niewiadomo dlaczego poczuł dławiące wzruszenie:

— Jutro matura!

Przy skroniach zakrzątało się, w sercu zatrzepotało i nieumyślnie powtórzyły się słowa: jutro, jutro. Jak motocyklem na ostrych zakrętach — z odwagą i z lękiem. Zresztą nie trzeba przyznawać się nawet przed sobą do tremy. Można ją z siebie wyrzucić głębokim, mocnym wydechem, a potem już spokojnie wiedzieć, że jutro będzie koniec, że szkoła zapadnie się i rozsypie, jak drapacz chmur, zmieciony tornadem.

Franek przeciągnął się z zadowoleniem, że to nareszcie koniec, nareszcie wolność. Gdzieś ani dojrzał jej wielkości, ani pomyśleć, jaka ona jest. Dmucha wielkim wichrem po przestrzeniach. I choć się właściwie nie wie, jaka jest ta „wolność“, można zrozumieć, że będzie przeciwieństwem tego, co dotąd było. Więc już nie marny wierszyk na kartce, wydartej z kajetu, złożonej, jak chustka do nosa, i podawanej spiskowo od ławki do ławki. Już nie ta sama droga dzień w dzień z chłodnego tunelu Wilczej na rozkrzyczany bieg Marszałkowskiej. Ani nieznaczne kroki obojętnych, czy nawet opornych nóg w każdy ranek.

Ani bury cień pod daszkiem czapki. Nie będzie już napewno wyboistych schodów na drugie piętro i prze staną istnieć ławki, opierające się łokciom twardymi razami. Na zawsze zetrze gąbka białe słowa i liczby z wyszarzałej tablicy. Popuści napięcie nerwów o l dzwonka do dzwonka. „Pęknie — doprawdy pęknie — ze świstem struna złowróżąca“. I wreszcie nie trzeba już będzie dziecinnie smęcić się i użalać:

„Jesteś mi, życie, dziwnym snem o Jawie,

O wulkanicznej wyspie, znanej tylko z książki“.

Ale, gdy Franek tak myślał o tem, co było do-
tąd, ten jeden jedyny dzień jutrzejszy roztrzepotał się
czarnym kirem. Nic przecież nie jest wiadome, nic
jeszcze pewne. Może się, ile chce, buntować własna du-
ma i nikomu dotąd nieodkryta własna wartość, skoro
jutro właśnie jest tajemnicą. A jeżeli będzie „klapa“?
Ohydne słowo, które brzmi, jak zatrzaśnięcie drzwi,
jak policzek. Myśl sprężyła się, niby mięśnie w ra-
mionach: „Nie dam się!“. I pocziwie, szczerze upe-
wniało „spokojne sumienie“, że jest przecież należy-
cie przygotowany, że uczył się w ostatnich tygodniach.
Zwolna świadomość poczyniała przerastać pokorną
samopociecę. Bo gdyby tak właśnie jutro, na odej-
ście, powiedzieć wszystko swoje? Objawić się tym po-
sępnym, nauczycielskim twarzom, szpakowatym bro-
dom, obwisłym, porowatym nosom, splachciałym po-
wiekom, kaśliwym ustom? Całej tej wrogiej brzydo-
cie, czyhającej na śmieszność, małość i nieudolność
egzaminowanego?

Mogłoby się to właśnie stać jutro, że jakieś py-
tanie, zadane podstępnie, odrzuci, niby piłkę nogą,
a potem młody, zuchwały stanie, jak na rozległym
placu, zaczerpnie powietrza na szeroki dech wyjawie-
nia, objawienia — siebie! Bo, czyż nazawsze już ma
pozostać wśród kratek dziennika kwalifikacja: uczeń
trójkowy? Czyż nazawsze trzeba będzie obnosić po
świecie tępotę posłusznych, zalęknionych oczu?

— Wistocie, objawię się — drwil — zaimponuję,
zwłaszcza matematyką!

Trzeba więc było odrazu skurczyć się do swojej
szkolnej miary i wiedzieć już napewno, że, wezwaw-
szy do pomocy zawsze usługne słówka: więc, nastę-
pnie, potem — wyjąka, wystęka swoją wiedzę. Nie-
dościgła zdawała się w tej chwili łaska pobłażliwości
nauczycielskiej. A może, mimo wszystko, wybaczą,
może będzie miał szczęście?

Drzwi pękły wąską szparką.

— Jeszcze nie śpisz? — zapytała matka.

Jak małemu dziecku, pomogła ściągnąć ubranie,
sama pomocowała się z twardymi, zakurzonemi sznu-
rowadłami obuwia.

— Nie trzeba, sam przecież potrafię!

Ale jeszcze otuliła go koldrą, jakgdyby był obło-
źnie chory. Irytował się na te ceremonje. Czulość, jak-
by z nieba spadła, patrzenie w oczy — niewiadomo
dla jakiej parady! Nic się przecież nie zmieniło, nic
się jeszcze nie stało. Ani dziś droższy, ani bardziej
kochany, dlatego, że jutro czeka go ważny dzień! Mi-
mo to patrzył w oczy matki nierozumnie i jakby bła-
galnie. Ale teraz taksamo, jak zawsze, wydawały mu
się zanadto mądre i nieodgadnione. Niejasno dorozu-
miewał się, że w tych oczach, obramionych złotawem
futerkiem rzęs, mieszkać musiały nieznane mu wyda-
rzenia. W prześwietlonych, szarych źrenicach prze-
bywały już chyba wszystkie ludzkie sprawy, docią-
gnięte do jakichś tajemnych granic. Nic przecież o nich
nie wiedział i pewnie nigdy matka mu o nich nie
powie. Tylko wynik tych przeżyć, zawarty w poucza-
jących, jakby wywyższających się sentencjach, zamy-
kał krótkiem zdaniem tajemny świat matki. Tak, jak
chrzest klamki zamyka drzwi.

Franek wiedział jednak, że ta dydaktyczna po-
waga matki jest obłudna. Matka umiała się przecież
śmiać głośno i dużo, mrużąc oczy nad jakimś żartem,
umiała układać usta ku figlarnym słówkom. Tak ją
nieraz podpatrzył i nazawsze już w gniewie i niechę-
ci zapamiętał. Bo pustująca wesołość matki przezna-
czona była dla obcych, choćby i dla klientów, którzy
przybywali z ulicy i wielomownie przekładali swoje
żądania przy zamawianiu abażurów. Gdy obcy odchod-
dzili, jakby szarzał różowy śmiech matki, a złote brwi
niecierpliwiły się nad gałgankami jedwabiu, czy sa-
tyny.

Śmiech matki był dla Franka niepokojącą zagad-
ką. Jakgdyby w tym śmiechu szumiały zielone liście,
jakgdyby mrugały ruchliwe plamy słońca i migiała
radość tańca. Tak właśnie śmiała się niematemczynym
śmiechem, który obrażał, jak niepocziwość.

I teraz także, gdy siedziała tu, na łóżku Franka,
w narzuconym na ramiona białym szlafroku, gdy na
różowej nocnej koszuli oddychał kwiat kokardy, a czo-
ło kryło się w cieniu wysmykanego czepeczka — przy-
pomniały się Frankowi obrazki, świecące różowym
śmiechem policzków. I dlatego wpierał teraz w matkę
srogie oczy: Ty nie jesteś — matka!

Mówiła cichym, nieco zachrypłym głosem jakieś
małowarte słówka o jutrzejszej maturze. Przyszła tu
przecież po to, by uspokoić syna i żeby wiedział, jak
z nim współczuje, jak ją to obchodzi. Ale nie było
w tem, co mówiła, nic wspólnego z myśleniem Franka.
Słowa matki nudziły natręctwem i Franek przymknął
oczy.



SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Mimowoli wybiegam przed kolej wypadków. Ach, zawsze najwięcej przyciąga to, co najbardziej boli!

Podarłam papiery adwokata i po najkrótszym przeczekaniu, aż się ociepli dosyć, żeby móc odbyć drogę z Hanuską, wróciłam do zamku — jak wartownik na redutę, której wbrew i naopak chce jednak bronić, bo jest mu powierzona przez niewidzialne rozkazy. Miałam swój najdroższy depozyt do obrenienia — Hanuskę! Ja mogłam zostać na bruku: ale dlaczego ona? Ja mogłam być wyrzucona za nawias życia: ale zacoż miałoby to spotkać ją?... Postanowiłam się bronić: postanowiłam wywalczyć zabezpieczenie, słusznie należne jej, jako jedynemu dziecku człowieka, który był jej ojcem wobec kościoła i prawa! Jeśli zdoła oszukać prawo kościelne — trudno! Nie miałam na to rady. Ale prawa cywilnego dochodzić byłam obowiązana. Po naradzie z adwokatem, którego mi nastręczyła Dominika przed moim wyjazdem, postanowiłam pójść za jego radą i czekać biernie, utrudniając rozwód — a w ostatecznym razie uzależnić go od praw, jakie mi baron będzie skłonny przyznać w separacji — to znaczy, zabezpieczenie w ten czy inny sposób przyszłości naszego dziecka.

Mój Boże! Kiedy sobie przypominam, z jaką wiarą i z jaką wolą wchodziłam w ten nowy okres mego życia! Zdawałoby się, założenia były słuszne. I któż mógł w dziewiętnaście lat zresztą przewidzieć, że i te jeszcze nadzieje runą, jak domek z kart, przywalając jednocześnie, jak grobowa płyta?

A jednak, tak miało się stać.

* * *

— Hanusia kocha Doga. Hanusia nie kocha Cisiaka! Cisiak be!

Cisiak — to było skrócone imię biednego, pocziwego Franciszka, który się naraził naszej królowie rozmaitemi dziadowskimi restrykcjami. Gdyby mógł, nie spuszczałby malutkiej z rąk i chuchał, żeby nie zziębła w naszych murach. Zostawało mu to i w lecie, kiedy życie nasze przenosiło się niejako obozowiskiem na gazon przed tarasem, bo tam prawie przez cały dzień było słońce. Wyprowadzaliśmy się całą rodziną na letnisko od rana: Hanuska, Dog, Franciszek i ja. Co jakiś czas z kuchni wysuwała głowę cheszka, która mieszkała, mimo całą moją intencję, aby ją jakoś wyprowadzić precz: miała widocznie instrukcje od Wacława. Wacław, oczywiście, był z baronem zagranicą, i z nim korespondowała. Poza tem, wzięłam sobie w Zakopanem dziewczynę, młodą góralkę, która zgodziła

się na lato, ale została przez osiemnaście miesięcy, aż do dnia katastrofy. Była miła, wesoła i przepałała za małą. Majster, sprowadzony przez Franciszka, zrobił kuchenkę w mojej połowie domu, za kurytarzem dziecinnego pokoju. Skoncentrowaliśmy się wszyscy czworo tam, nie licząc piątego Doga, który był towarzyszem i rówieśnikiem Hanuski: Dominika go przyniosła w koszyczku na dworzec, kiedyśmy odjeżdżały, malusieńkie, drżące psięcisko, które od razu polubiłam, bo — takie to już jest szaleństwo macierzyńskiego zaślepienia, że widzi wszystko poprzez miłość do dziecka — bo w swojej bezradnej małości przypominał mi Hanuskę. Był wspaniałym bernardynem z chowu ciotki, której niezliczona psiarnia, domierająca po zakamarkach pałacu pod dozorem emerytki-francuzki, poszła na tułaczkę z jej śmiercią. Teraz wyrósł, spotężniał i był fanatycznym stróżem mojej córy, do której dopuszczał bezapelacyjnie tylko mnie i Dorotkę, a Franciszka — już z pewnymi restrykcjami. Do wszelkich spodni czuł nieuzasadnioną, ale zaciętą nieufność.

Na drugim skrzydle samotnie i ponuro gnieździła się, jak sowa, cheszka.

Może to brzmieć śmiesznie i prawie fantastycznie, ale jednak, tak było: okres ten uważałam prawie za... szczęśliwy. Byłam sama z Hanuską, moim skarbem! Przy mnie były dwie życzliwe istoty, a ci, którzy byli nieżyczliwi i zatruli mi życie — odeszli w niewidzialną dalekość. Baron się nie zjawiał. Listy, przesyłane przez adwokatów z początku w sposób gwałtowny i pełen pogrozek, potem zwoływały tempa. Dochodziły mnie uboczne wieści — Dominika była ich jeżeli nie pierwszym źródłem, to — głośnikiem, podającym je do mojej samotni — że baron asystuje jakiejś milionowej gwieździe francuskiej, na którą wyrzuca kolosalne pieniądze: że pomiędzy nim a Lory zerwał się okres zażyłości, obudzający jakoby oburzenie nawet w tolerancyjnej dla takich zjawisk sferze, którą oboje uważali za swoją: że Mimiś miał się pojedyńkować, albo też się pojedyńkował już z jakimś radcą hinduskim z powodu Lory, która ostatnio zmieniła fryzurę na rudą: że mąż mój jakoby jest stałym bywalcem kasyna, i sensacją sezonu był bank, jaki zdołał wziąć na rulecie. Grał namiętnie, ale z nierównym szczęściem: pamiętałam jeszcze z naszego wspólnego pobytu w Nicei jego grajątkowe oczy i bladą maskę twarzy przy stole gry. Wygrywał! To dobrze. Skoro miał pieniądze, nie potrzebował może tak szybko rozwodu — zostawiał w spokoju mnie! W każdym razie ostatniem wystąpieniem był przyjazd Wacława, któ-

ry zjawił się do mnie z żądaniem barona, abym przysłała przez niego ostateczną zgodę na rozwód. Gra szła w otwarte karty: poraz pierwszy zdobyłam się na odwagę i — wyrzuciłam famulusa za drzwi. Cisnęłam za nim raz jeszcze papierami adwokackimi i powiedziałam głosem, jakiego u siebie wcale dotąd nie podejrzewałam, tyle w nim było pogardy i władzy.

— Teraz jest to tylko mój dom! Jeżeli tu zostały jakieś rzeczy pana barona, niech Franciszek je wyda — i proszę odejść do zajazdu na wieś!

Ujął za klamkę, z krzywym ze wściekłości uśmiechem: nie patrząc na starego, zwrócił ku mnie swoje blade i chłodne, jak mrożona woda, oczy.

— Pani baronowa tego pożałuje. Pani baronowa nie oblicza, jakie z tego mogą być konsekwencje! Nie wiem, co wobec tego mam powtórzyć panu baronowi?

Och, jakież to było plugawe i złe zwierzę! Podniosłam się z krzesła, na którym siedziałam, trzymając Hanuskę, zajęętą frendzlami mojej chustki, i, podszedłszy tak blisko, że prawie wyparłam go z pokoju, powiedziałam w ogniach, jakie buchnęły mi na twarz:

— Proszę powiedzieć swemu panu, że kazałam jego lokajowi pójść z mego domu precz!...

Wyjechał tegoż wieczora, a nazajutrz wyprowadziła się niespodzianie cheszka. Co zamierzali? Nie wiedzieliśmy! Ale nie wątpiłam, że zamierzają coś na moją i dziecka krzywdę. Co jeszcze zrobić mogli! Poza tem, co się już stało?...

Dowiedziałam się niezadługo. Kiedyś popołudniu przestraszony Franciszek przydreptał do mnie z trwogą w błękitnych, pocziwych oczach.

— Proszę pani baronowej, tam przyszedł jakiś. Chyba żyd, choć niby w marynarce! Są we dwóch, bardzo krzyczą i machają rękami. Powiadają: niema pana barona — nie pomaga! Chce mówić z samą, jasnie panią. Powiada, że jak nie, to będzie musiał iść do urzędu. Jakies weksle, czy coś. Jak pani baronowa każe?

Stałam bezradna. W życiu nie załatwiałam żadnego interesu! Weksle? Ale co trzeba robić z weksłami? Wiedziałam, że za weksle można trafić do kryminału. Grozi? Nagle zdecydowałam się na wszystko. Niech wiem!

— Franciszek go poprosi do kancelarii. Niech wejdzie!

Podreptał na ganek, a ja pokojami, przez zrujnowane salony i schody poszłam na drugie skrzydło, gdzie się mieściła kancelaria męża. Bywałam tam rzadko i nie lubiłam jej: linoleum na podłodze, biur-

ko, ceratowa kanapa, stare dwa fotele... Przedziwna, obdrapańcza-zbieranina mebli, jakie zdobyły nasz zamek — czy nie ironja nazwy?... zdumiewała mnie zawsze i napawała odrazą. I na leśniczówce u nas mieliśmy ubożuchne sprzęty, ale jakież inne! Sam fotel dziadunia ze staroświeckiem, wysokiem oparciem, same czeczoty w saloniku, same komódki babuni... Tamta starość miała swoją godność, ta — tylko brzydotę!

Żyd — bo był to istotnie żyd — już czekał. Był krótki, pękaty, z pierścieniem o funtowym brylancie na małym palcu i w pokrzywionych kamaszkach. Bujał laską w złożonych za sobą rękach, a na głowie miał melonik.

Weszłam i odrazu utkwiałam w tym meloniku wzrok, zapewne dość pelen zdziwionego obrzydzenia, aby to spostrzegł. Zdjął go powoli, pilnie patrząc na mnie z pod brwi. Nie siadając, oparłam się o biurko.

— Pan ma interes do pana barona? O co idzie? Mąż jest zagranicą.

— Nu, my wiemy, że on tam jest! Ale my chcielibyśmy wiedzieć, kiedy on będzie być tu, na niejsce? Taki wielki pan, pan baron, on nie potrzebuje pamiętać, że on nam jest winien te kulkanaście setek, my to rozumiemy! Ale my jesteśmy kupcy, my potrzebujemy żyć! Jak pan baron ciągle tu nie jest i nie jest, to kto nam zapłaci za nasz koszt?

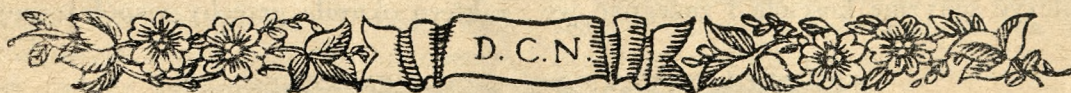
— Ale o co mianowicie panu idzie? Proszę powiedzieć wyraźnie!

— Nu, czemu ja nie mam powiedzieć wyraźnie? Jaby nie powiedział, bo interes to jest interes, i kupiec potrzebuje być dla swego klienta dyskretny, choćby wiedział, że ten klient, to, z przeproszeniem, lobuz albo inny szkodnik! Ale jak pan baron jest taki wielki pan, to tu niema czego być dyskretnym! Nu, to ja przyszedłem o tę dzierżawę: jak to ma dalej być?...

Dzierżawę! Nie miałam pojęcia, co to mogło być dzierżawione? Czułam jednak, że nie powinnam wpaść.

— No dobrze, więc czegoż pan właściwie żąda?

— Ja niczego nie żądam, ja tylko żądam, żeby mi pan baron zapłacił za te zaległe raty! Pięćset koron, to jest pięćset koron! my, żydki, my nie jesteśmy takie wielkie państwo, żeby my mogli takiego grosza darować! Jak tu był ten lobuz Wacław, to zawsze albo pan baron wyjechał, albo jeszcze nie wrócił, albo to, albo owo, a ja mam żonę i dzieci, ja też muszę żyć? Jak my się namówili i dopilnowali z innemi żydkami, kiedy pan baron jechał na polowanie, no to pan baron powiada: wy jesteście głupcy, bo ja dostanę wielki spadek!



PAULA LAMOWA

ŚWIĘTA KATARZYNA SIENEŃSKA

Z cyklu „Kobiety Odrodzenia“

W epoce, kiedy kobiecie nie wolno było rozporządzać swoją osobą, ani majątkiem, nie wolno było świadczyć w sądzie, ani kształcić się bez specjalnego zezwolenia wyższych władz, zjawia się postać kobieca, otoczona zarówno aureolą świętości, jak nimbem ideału, wymarzonego w poezji. Podniesie ona godność swoją w najwyższym znaczeniu społecznym, weźmie najżywszy udział w życiu politycznym, otrze się o tłum i jego zmienną psychikę, będzie rozkazywać papieżom i panującym, żelazną wolą i hartem ducha pokona przeciwności i odegra rolę dominującą nad mężczyzną. Tą wyjątkową kobietą będzie Katarzyna Benincasa, dziewica ze Sienny, jasnowidząca, uwieczniona na obrazie Tintoretta w wizji mistycznych zaślubin z Chrystusem. Dwa freski Sodomy na kościele św. Dominika w Siennie zostały jako świadectwo tej niezłomnej siły woli, w której kształciła swego ducha św. Katarzyna. Pierwszy z nich wyobraża egzekucję rycerza, Mikołaja Tuldy, której na prośbę skazanka asystowała św. Katarzyna, aby świętą głowę młodzieńca przyjąć w swoje ręce i w chwili śmierci wizją towarzyszyć jego wniebowzięciu — druga, otrzymanie stygmatów po długich postach, po ascetycznym umartwianiu ciała i żarliwych modłach.

Dante powiedział, że największym skarbem człowieka, jest jego wolna wola; w imię jej właśnie walczyła Katarzyna Benincasa, od czasu swojej pierwszej wizji, którą miała, jako sześciolatnia dziewczynka, aby wolno jej było poświęcić się Bogu. Wszystkie prośby i aalegania rodziców i rodzeństwa rozbijały się o wolę dziecka, hartowną, jak stal. Wolę tej świętej siostry Dominikanki, którą, jedyną wśród kobiet, obdarzyła historia Kościoła mandatem apostolskim nawracania herezji.

Św. Katarzyna, suor mantellata, świecka zakonnica pod znakiem św. Dominika, która wolą swoją działała cuda i pozyskała cześć i miłość tłumów, miała spełnić zadanie o wiele trudniejsze, aniżeli inne świętobliwe kobiety, zamknięte w celi klasztornej. Oto, podczas epidemii dżumy przyjdzie jej organizować doraźną pomoc dla chorych porzuconych na ulicach Sienny, grzebać szerniałe trupy zadżumionych, nawoływać gromkim głosem zdrowych do obowiązku wobec chorych, zjawiać się wszędzie, gdzie wzywało ją serce, naśladujące Chrystusa. Wieść o magnetycznym wpływie, dziewczicy ze Sienny na umysły ludzi, dojdzie rychło i do Watykanu; Papież Grzegorz XI wezwie ją do siebie i każe jej wędrować po kraju w towarzystwie trzech eklezjastyków.

Aby zwalczyć schyzmę kościoła i zażegnać we

Włoszech wojnę domową, Katarzynę chce zorganizować wyprawę krzyżową. Przyjdzie jej jeszcze pośredniczyć w pokoju między Sienną a Florencją, skłaniać papieża do reformy kleru, rozkazywać głosem wysłanniczki bożej, aby z Avignonu powrócił do stolicy św. Piotra, przyjdzie jej wreszcie umrzeć wśród niedokonanego dzieła i klęski papieżstwa i to właśnie będzie koroną męczeństwa św. Katarzyny.

Posłannictwo tej kobiety Odrodzenia skrytykowały się w trzech wybitnych cechach charakteru; intuicji, miłości i woli. W epoce sceptycyzmu i materjalizmu, postać Katarzyny nabiera szczególnego znaczenia przez swój kontrast z otaczającym ją światem, gdyż dziedzina, do której myśliciele i filozofowie dochodzą drogą intelektu i kontemplacji, wizjonerom i mistykom jest dostępna w stanie ekstazy. Katarzyna Sienneńska jest najgłośniejszą jasnowidzącą w historii. Przepowiadała ważne wypadki, odgađywała najskrytsze myśli ludzi, na których jej zależało, ale nie jasnowidzenie uczyniło ją świętą; światłość ducha była natchnieniem w jej życiu wewnętrznym, kierowała radą jej w obronie papieżstwa, dała wreszcie woli sienneńskiej dziewczicy niezłomną moc wytrwania na każdym stanowisku. Dlatego sława tej świętej w Toskanji promieniowała długo na potomność i doczekała się największej bibliografji z wszystkich cudownych postaci w historii Kościoła. Najstarszą jest monografia Rajmunda z Capri, reformatora zakonu Dominikanów, który był spowiednikiem św. Katarzyny. Listy jej, pisane stylem jasnym i przejrzystym do największych osobistości współczesnych, opublikował w czterech tomach Gigli, a wydał je powtórnie Dalmate Tommaseo wraz z traktatem św. Katarzyny „O doskonałości“.

Z trzech typów kobiet renesansu, pierwsza urodą, strojem i przepychem dała życie i rozkwit włoskiemu malarstwu, druga, idąc śladem mężczyzny, przeciwstawiła płci panującej swoje niezaprzeczone i dorywnujące mu wartości intelektualne, a trzecia w habitcie zakonnej, poświęciła życie Bogu i miłości bliźniego. Ta ostatnia zdobywa laur nieśmiertelności w historii kobiety Odrodzenia.

Ani św. Klara, ani św. Katarzyna, ani św. Franciszka rzymianka, wszystkie zasłużone społecznie, nie miały promiennej sławy św. Katarzyny sienneńskiej.

Włosiennicę, kamień, na którym spała i latarkę zachowała Sienna jako relikwię po świętej, której aureola opromieniała epokę Odrodzenia, a siła charakteru okupiła grzechy współczesnej niewiasty.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

NOWE KOBIETY CZECHOSŁOWACJI



Pani Marja Kukłowa-Tumlirowa

Pani Marja Kukłowa-Tumlirowa, jedna z najnowocześniejszych kobiet Czechosłowacji: prezeska Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem, zajmuje w ministerstwie stanowisko kierowniczkę referatu wyższych szkół rolniczych i technicznych. Jest inżynierem techniki i rolnictwa.

Jak większość kobiet wykształconych i zajmujących się sprawami naukowymi, pani Tumlirowa odznacza się prostotą obyczajów, mowy, stroju.

Na moją prośbę charakteryzuje udział kobiet w działalności różnych zawodów, wymagających wyższego wykształcenia.

Równouprawnienie kobiet w Czechosłowacji istnieje bowiem w zasadzie w stopniu nie mniejszym, jak w Polsce — jakże jednak kobiety Czechosłowacji umieją w praktyce swe prawa wykorzystać?

— Na stanowiska wszelkiego rodzaju wchodzić, nie bez trudności, kobiety z wyższym wykształceniem, z wyjątkiem prawniczek — oświadcza pani Tumlirowa. — Od roku 1897 byłyśmy dopuszczone na wydziały filozoficzny i medyczny, na wydział prawny; na Politechnikę i Rolnictwo — dopiero po rewolucji. Jeśli chodzi o praktykę w zawodach i stanowiska, profesorki szkół średnich mają nawet w pragmatyce zastrzeżone równe z profesorami prawa; jedynie dyrektorki jest stosunkowo mało. W ministerstwie oświaty są na stanowiskach kierowniczych tylko dwie kobiety. Lekarki mają powodzenie i praktykę, zwłaszcza w mniejszych miastach. W magistracie praskim pracuje szereg lekarek, w ministerstwie zdrowia mamy szefę wydziału, dr. Johanowską. W dziale techniki kobiety studjowały z początku głównie chemję, znajdują jednak zajęcie przeważnie tylko w pomoc-

niczych działach pracy laboratoryjnej, w fabrykach i t. p. Ostatnio dużo kobiet, zwłaszcza cudzoziemek, studjuje u nas rolnictwo; otrzymują pracę w mleczarstwie, w instytucjach doświadczalnych rolniczych, gdzie są zresztą bardzo cenionymi siłami. Wiem, iż teraz pierwsza studentka zapisała się na leśnictwo. Jest już sporo architektek, które pracują głównie dla wewnątrz i umeblowań; jedna jest specjalistką w urządzaniu ogrodów i ma wielkie wzięcie.

— Jakże przedstawia się kwestja prawniczek?

— Najważniejszą przeszkodą jest fakt, iż kobiety z wykształceniem prawniczym nie są dotychczas przyjmowane do służby państwowej. Na naszych uniwersytetach jest teraz blisko 300 studentek prawa. Kształcić się im wolno, gdy jednak to wykształcenie zdobędą, mało mają pola do pracy. Adwokatki jeszcze jest mało — zdaje się dwie. Jest jedna notariuszka (kandydatka), kilka prawniczek pracuje w magistracie praskim w dziale spraw społecznych i personalnych. Urzędy państwowe są dotychczas przed niemi zamknięte, gdyż np. prawniczki, przyjęte do biur reformy rolnej, nie są zatwierdzone jako pracownice państwowe. O sądownictwie ani słyhać.

— Czy panie temu przeciwdziałają?

— Oczywiście! Wydałyśmy odpowiednie materiały w broszurze p. t. „Prawniczki na uniwersytecie, a praktyka” i zwróciłyśmy się do Prezydenta republiki. Prezydent Massaryk, który jest zdecydowanym zwolennikiem pracy kobiet na stanowiskach, bardzo życzliwie nas przyjął i dodał nam otuchy, iż sprawa nasza niewątpliwie odniesie zwycięstwo.

— Jak wygląda udział kobiet w stanowiskach uniwersyteckich?

— Mamy dotychczas 5 docentek. I tak: Dr. Paulova jest docentką historii nowoczesnej krajów bałkańskich, świetną specjalistką wojny światowej. Dr. Jadwiga Langecker, medyczka i chemiczka, wykłada farmakologję w Pradze. Moja siostra, Dr. Kukłowa, na uniwersytecie w Bratisławie jest docentem medycyny wewnętrznej, specjalnie bakterjologii. Dr. Vesela na uniwersytecie praskim jest asystentką prawa karnego; inżynier i dr. filozofji Niethammerova otrzymuje właśnie nominację w Politechnice na docenturę botaniki stosowanej — kończy swe wyjaśnienia dr. Tumlirowa.

Te fakty dają raz jeszcze świadectwo dzielności i wytrwałej pracowitości kobietom Czechosłowacji. Na wszelkich polach czynne, praktyczne, rozumiejące swój obowiązek obywatelski, kobiety czechosłowackie sięgają po najwyższe zadania, nie zrażone trudem dążenia i przeszkodami na drodze czynnej pracy na nowych torach.

Praga, w kwietniu.

MAGJA SŁOŃCA

(Pejzaże Mikołaja Tanewa. bułgarskiego malarza, w sali Związku artystów plastyków)

Że impresjonizm w malarstwie pejzażowym jeszcze się nie przeżył, świadczy o tem zbiorowa wystawa prac bułgarskiego malarza, Mikołaja Tanewa. Kto choć raz w życiu doświadczył dzikiej przemocy, z jaką bułgarskie słońce bierze w posiadanie tamtejszy krajobraz, kto oddychał tęgiem powietrzem gór bałkańskich, ten odnajdzie te wszystkie cuda światła i plein-air'u na obrazach Mikołaja Tanewa.

Są to wszystko kawałki natury, żywcem przeniesione na płótno bez najlżejszych odchyień od rzeczywistości.

— Maluję tak, jak widzę — powiada skromnie o sobie artysta, którego oczy uczyło patrzeć słońce, a ręką kierował wielki mistrz impresjonizmu francuskiego, Claude Monnet.



Zaulek w Filipopolu



Siedziba artysty w Karlowej

Urodzony nad Dunajem, Mikołaj Tanew, studia malarskie odbywał w Paryżu i z przedziwną łatwością, właściwą słowianom, przyswoił sobie zachodnią kulturę artystyczną. Wierny jednak pozostał tematowi ojczystym. Szaro - błękitne mgły nadsekwańskie nie zaćmiły w jego wyobraźni silnego natężenia barw, nie złagodziły ostrych kontrastów światła i cienia, tak bardzo charakterystycznych dla pejzażu bułgarskiego. Wychowaniec stolicy świata pozostał dzieckiem słońca i zachował oczy dziecka, z zawsze świeżym podziwem wpatrzony w cuda przyrody. Bezpośredniość odczucia nakłada na każdą jego pracę piętno indywidualne.

Oto egzotyczne zaułki Filipopola o kapryśnych liniach domów, zalane światłem, skondensowanym, jak lawa. Oto szczątki rzymskiej bramy z sylwetką zawołowanej tureczki. Oto druga stolica Bułgarii. Tyrnów, czarodziejski wachlarz domów, rozpostarty amfiteatralnie na wzgórzu.

Oto wreszcie podwórze w Karlowej, ulubionej siedzibie artysty, położonej w najbliższym sąsiedztwie słynnej „doliny róż”, uroczy zakątek, z którego olśniewającej bieli artysta wydobył całą utajoną w nim esencję piękności, podobnie, jak słońce wydobywa z tysiąca róż kroplę wonnego olejku.

S. P. O.



ANNA FIRLEY

LIST Z AMERYKI

Wzorowe mieszkanie w Nowym Yorku. Amerykańskie zwyczaje wielkanocne. Wiceprezydent Curtis stwarza precedens, mianując kobietę swoim pierwszym sekretarzem.

W przeciwieństwie do naszej, nieraz przesadnej gościnności, dzięki której niemal przed każdym cudzoziemcem szeroko otwierają się drzwi polskich domów, w Ameryce dostęp do tutejszych „home” jest stosunkowo trudny. Wprawdzie Amerykanin chętnie przestaje w towarzystwie Europejczyka, i obcowanie z kulturalnym przybyszem ze starego świata jest tu pewną oznaką dobrego tonu, jednak gościnność Amerykanina, przynajmniej w wielkich miastach, ogranicza się przeważnie na zaproszeniu cudzoziemca do swego klubu na obiad, do Opery, do restauracji lub do eleganckiego Kinoteatru, w którym przedstawienie odbywa się raz dziennie, o godzinie 9-ej wieczorem, i gdzie jedno miejsce kosztuje 5 dolarów.

To też ucieszyłam się bardzo, otrzymawszy zaproszenie na obiad do państwa S.

Mieszkanie ich znajduje się przy Park Avenue, która jest obecnie najbardziej elegancką ulicą w Nowym Yorku.

Pan S. jest znanym w Nowym Yorku adwokatem, człowiekiem bardzo zamożnym, a przynajmniej zarabiającym bardzo dużo. Oboje z żoną hołdują współczesności i są pod każdym względem „up to date”. Wszedłszy do salonu, nie zastałam jeszcze nikogo z gości, a ponieważ Amerykanie są niezmiernie punktualni, wyraziłam przed gospodynią obawę, że stawiałam się może za wcześnie i że może będę jej przeszkadzała w ostatnich przygotowaniach do obiadu. Pani domu uśmiechnęła się.

— Ależ nie, nie mam nic do roboty, całe menu przyniosą mi gotowe z restauracji; niema zaś jeszcze nikogo, gdyż umyślnie poprosiłam panią o pół godziny wcześniej, aby stosownie do obietnicy pokazać jej moje mieszkanie.

Rozpoczęłyśmy od kuchni. Szeroki korytarz, wiodący do niej, miał podłogę z jakiejś skombinowanej masy korkowej, twardej i prężnej zarazem i wysłany był kolorowym płóciennym chodnikiem, dającym się podobno doskonale prać. Cała kuchnia, biała i czysta, jak pierwszy śnieg, była wyłożona od dołu do góry porcelanowymi kafelkami. Wzdłuż ścian biegły białe lakierowane szafy i kredensy. Między niemi na wolnych ścianach — baseny do zmywania naczyń, zaopatrzone w przemysłne przyrządy do spłókiwania; maszyna do wyrabiania lodu, ruszt do suszenia i ogrzewania talerzy, kuchnia elektryczna na nóżkach i t. p. Zwrócił moją uwagę patentowany aparat, zwany „Kitchen Aid”, niezmiernie pomysłowo skonstruowany i oddający niezliczone usługi przy przyrządzaniu potraw. Za pociśnięciem guzika elektrycznego mądra

ta maszyna mięsi ciasto, kręci żółtka, bije pianę lub krem, sieka mięso, miele kawę, szatkuję kapustę lub jarzyny, zamraża lody, słowem — jest nieoceniona; przytem zajmuje niewiele miejsca i godzina pracy jej kosztuje 1 centa.

Obok kuchni, w korytarzu, pani S. pokazała mi szafę w murze, służącą do letniego przechowania futer, swetrów i innych wełnianych rzeczy. Szafa ta posiada drzwi, zamykające się hermetycznie, jak w kasie ogniotrwałej, a wewnątrz szczelnie wyłożona jest pachnącem drzewem cedrowym, którego woni mole absolutnie nie znoszą; sztuczny zamek przy szafie zabezpiecza futra przed złodziejami.

Kuchnia i łazienka — to ministerstwo zdrowia w mieszkaniu; powiedziałabym więcej: — ministerstwo zdrowia i kultury. Nie znaczy to wprawdzie, że człowiek bogaty, którego stać na wspaniałą instalację łazienki, musi być człowiekiem kulturalnym, ale o kulturze człowieka stanowi to, jaką wagę przykładają on do wyposażenia jej w możliwy komfort, wygodę i higienę w stosunku do środków, jakimi rozporządza na całkowite urządzenie swego mieszkania. Łazienka państwa S. olśniła mnie poprostu.

Ponieważ mieszkanie znajduje się „on the top”, na najwyższym piętrze, okrągły pokój kąpielowy ma górne światło, sączące się przez szklaną kopułę, wspartą na czterech słupach z matowego szkła o pomarańczowym odcieniu. Całe ściany wyłożone są tafelkami z podobnego szkła. Pośrodku pokoju, głęboko w podłodze umieszczona jest marmurowa wanna; schodzi się do niej po trzech marmurowych schodkach, biegnących dokoła basenu. Cały system ciepłych i zimnych natrysków zamknięty jest w budce z przezroczystego szkła, której ściany zapobiegają rozpryskiwaniu się wody po pokoju. Ponieważ łazienka jest duża i przylega do sypialnego pokoju — służy jednocześnie za gotownię; na długim szklanym stole ustawiona jest cała bateria flakonów, słoików, puszek z kremami, przyrządy do manicure, ręczne lustra, szczotki, grzebienie — wszystko z kryształu i „vermeil”, czyli złoczonego srebra. Całość urządzenia utrzymana jest w ciepłym, pomarańczowo - złotym tonie, to też łazienka nawet w dzień pochmurny robi wrażenie zalanej słońcem.

Opuściwszy to królestwo wygody i czystości, udałyśmy się do salonu, dokąd za chwilę zaczęli się schodzić zaproszeni goście; było ich dwanaście osób i wszyscy stawili się prawie jednocześnie z zadziwiającą punktualnością.

W salonie pani S. uderzył mnie brak bibelotów i drobiazgów. Głębokie fotele klubowe, kilka nieodzownych „rocking chair’ów“, trzy czy cztery stoliki na kółkach — stanowiły całe umeblowanie; mechaniczne pianino i 6-cio lampowy aparat radiowy dopełniały całości. Stół jadalny według angielskiej mody nie był przykryty obrusem: na lśniacej, niby lustro, powierzchni jego były porozkładane koronkowe serwetki, na których stały talerze, wazony z kwiatami, butelki i t. p.

Jedzenie, podobnie jak w całym Nowym Yorku, było poprostu okropne. Moje europejskie podniebienie nie może pogodzić się z tutejszemi słodkimi zupami, kompotami z jarzyn, ciastkami z sera i jabłek i tym podobnemi cudactwami. Koroną obiadu był wspaniały indyk, własnoręcznie szybko i zgrabnie pokrajany w oczach gości przez pana domu. Niestety, indyk ten, jak wiele rzeczy w życiu, stracił niezmiernie przy bliższem poznaniu: okazało się, bowiem, że jest faszerowany ananasem i marchwią, przytem tak pachniał skomplikowanym bukietem wymyślnych ziół i korzeni, że nie mogłam się zmusić do przełknięcia choćby jednego kawałka.

Ponieważ było to świeżo po Wielkiejnocy, wyraziłam przy stole żal, że w Ameryce święta te przechodzą niepostrzeżenie i nie różnią się niczem od zwykłej niedzieli. W odpowiedzi na to usłyszałam, że Nowy York — to nie Ameryka i że na farmach i w mniejszych miasteczkach istnieją jeszcze do dnia dzisiejszego ciekawe obchody i zwyczaje, związane ze świętem Wielkiejnocy. W Wielki Piątek np. dziewczęta pragnące szybko wyjść za mąż, winny obejść siedem kościołów, zaś w okolicach katolickich zanoszą specjalne modły do św. Józefa. W małych miasteczkach, gdzie niema tylu kościołów, dziewczęta sadowią się do swych Fordów i odbywają pielgrzymki do kościołów okolicznych, często bardzo oddalonych. Według innego zwyczaju dziewczęta, również w Wielki Piątek, przeglądają się w sadzawce, jeziorku lub poprostu w dużej kałuży. Twarz chłopca, ukazująca się nagle w wodzie obok dziewczyny, jest twarzą jej przyszłego męża. Przebiegłe dziewczęta pomagają często leso-wi, umawiając się na daną godzinę z przedmiotem swoich westchnień, a potem cieszą się, że w zwierciadle wody nie ukazał im się nos starego stróża nocnego, lub znanego w mieście brzydala, ale miłe rysy „of the boy-friend“. W Nowym Orleanie, koło kaplicy św. Rocha, rośnie czerwona koniczyzna, wyrosła, według podania, z krwi młodzieńca, który z żalu do niewiernej dziewczyny popełnił samobójstwo. Która z dziewcząt, pomodliwszy się szczerze w Wielki Piątek, odnajdzie poczwórny listek tej koniczyzny, ta stanie się napewno przedmiotem gorącej miłości. Ciekawe jest, doprawdy, jak pod każdą szerokością geograficzną zwyczaje ludowe się powtarzają, a wróżby obracają się niezmiennie obok największej urody życia — miłości.

Na zakończenie — sensacja dnia. Jest nią mianowanie miss Williams pierwszą sekretarką wiceprezydenta Curtisa. Jest to precedens, nieznanym w dziejach Stanów Zjedn., to też osoba miss Loli Williams stała się przedmiotem ogólnej ciekawości, a pisma przepelnione są szczegółami z jej życia. Mając lat czternaście, miss Lola potrzebowała gwałtownie pieniędzy na wyjazd do Kalifornji; zasadziła wtedy własnoręcznie pole kartoflami, sama je okopała i sprzątnęła z pola, a potem obwiozła po całym miasteczku i zebrała fundusz, potrzebny na wyjazd. Innym razem ojciec ofiarował jej żartem połowę należności, których zwrotu nie mógł uzyskać od swych dłużników. Miss Lola tak energicznie zabrała się do dzieła, że ku zdumieniu ojca odebrała wszystkie pieniądze, które uważał za przepadłe. Miss Williams będzie pobierała 400 dolarów miesięcznej pensji, biurko jej będzie stało w słynnej marmurowej sali, tuż obok sali posiedzeń Senatu. Wszelkie sprawy oficjalne, podania, listy, projekty, skierowane do wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, muszą przejść przez jej małe, lecz energiczne ręce.

Nowy York, w kwietniu.



Jean Giraudoux: „Bella“, przekład Marji Kuncewiczowej. Tow. Wydawnicze „Rój“, Warszawa 1929.

Ten polityczny pamflet w formie romansu musiał wzbudzić wśród francuzów zrozumiałą sensację; czytelnik polski ocenia go pod kątem czysto artystycznych walorów. Sprawdzian jego ma znacznie wyższą skalę i głębszą perspektywę. Fakt, że w powieści sportretowane są w karykaturze rodziny Berthelotów i Raymonda Poincaré, tych nowoczesnych Montecchich i Capulettich, rzuconych na tło walki parlamentarnej, walki o władzę, ten fakt raczej obciąża w naszych oczach skalę odpowiedzialności twórczej autora.

Oglądany z dystansu naszej, o ileż mniej wyrafinowanej kultury, z naszych, o ileż bardziej prymitywnych odruchów, ten konflikt dwóch doskonałości, dwóch wcieleń francuskiego genjuszu wydaje się nam pajęczyną, zawieszoną w próżni.

Ze splecionej sieci drobnych intryg wyrasta samotny kwiat na bagnisku, Bella, heroina wielkiej namiętności, gotowa zadać sobie śmierć w imię swego ukochania. Wobec jej patetycznego gestu jakże małeje świat genialnych kretyńców. Milcząca Bella przemawia raz jeden w życiu czynem, godnym rzymianki:

przelewa krew własną, podczas gdy tamci wylewają tylko morze słów, żółci i atramentu. Bella w powieści jest jedynym żywym człowiekiem i to zbudowanym na miarę klasyczną; reszta — to doskonale automaty. Kto wie, czy autor nie bez podstępnej złośliwości postawił ją na koturny, żeby jaskrawiej uwydatnić przyziemność otaczających ją duchowych platfów.

Tłumaczka w swojej pracy odtwórczej poszła po linii największego oporu: zadała sobie szlachetny trud sprecyzowania nie tylko sensu powieści, ale wszystkich finezyj stylu pamfletowo-analitycznego. Mam tu wzór doskonałej symbiozy: duch Jana Giraudoux nie ulotnił się z jego książki. Marja Kuncewiczowa pozostała sobą. Wszystkie oczka koronkowej roboty zostały uwypuklone w sposób, który świadczy chlubnie nie tylko o artystycznej intuicji tłumaczki, ale i o jej metodzie.

S. P. O.

Jakób Wasserman: „Niewolnicy życia”, powieść. Przełożył L. Staff, Instytut wydawniczy „Renaissance”.

Problemat małżeństwa nie da się przeciąć od jednego zamachu. Może dlatego Wasserman podchodzi doń od strony przykładu, daje całą sieć powikłań rodzinnych, narazie luźno związanych, stopniowo zadzierzgniętych w pętlę, a wreszcie tragicznie omotujących centralną postać Laudina, znakomitego adwokata rozwodowego.

Czem kto wojuje, od tego ginie. Małżeństwu Laudina, pomimo wszystkich pozorów szczęścia rodzinnego, brakowało duszy. Jego żona Pia była idealną matką, panią domu, szafarką zarobków męża, ale nie była towarzyszką jego zamyśleń, wątpliwości i załamania. Tych dwoje ludzi nigdy nie żyło „razem”, żyli „obok siebie”. Więc musiał przyjść moment, kiedy jedno z nich odeszło. Nie była to nieco bierna w swej posagowości Pia o gładkim dziewczęcym czole, mniej dojrzała i świadoma od swych własnych dorastających córek. Odszedł mężczyzna, właściwie padł ofiarą pomyłki. Doświadczony znawca ludzi, znakomity psycholog, wywierający na swych klientów wpływ niemal sugestywny, uległ czarowi prześlicznej, a zepsutej do szpiku kości kabotynki. Ocknął się na brzegu przepaści, na krawędzi szaleństwa i zbrodni, w przededniu ruiny materialnej i moralnej. Pograżonemu w straszną rozterkę duchową dłoń przyjazną nad otchłanią podaje żona. Niespodziany rozkład psychiczny męża podziałał na nią w swoisty sposób, dokonywując w duszy tej niepospolitej kobiety gruntownej przemiany. Umysłową dojrzałość zastąpiła genialną intuicją, po kobiecemu rozwiązując węzeł gordyjski. Spokojna, ale stanowcza wkracza w dziedzinę dotychczas dla niej zamkniętą: w duchowe życie męża. Będzie odtąd jego przyjaciółką, towarzyszką, podporą. Rezygnuje z wielu dóbr i wygod materialnych, z okaza-

łości i komfortu, aby ulżyć temu, na którego barkach wspierał się cały ciężar gniazda.

Poza tym głównym motywem jest w powieści kilka wątków ubocznych, związanych z osobą Laudina dzięki jego zawodowi lub stosunkom towarzyskim. Każdy z tych wątków pozwala nam dociekać w coraz to głębsze pokłady duchowe niepospolitego człowieka, który pod władzą zmysłów staje się pospolitym mężczyzną, wdzionym za nos przez komediantkę i omal że nie zbaczającym na bezdroża „wieku niebezpiecznego”.

O przekładzie Staffa tyle tylko da się powiedzieć, że niezawsze dobrze jest, gdy znakomici poeci tłumaczą zbyt dużo powieści. Odtwórca staje się wytwórną, sztuka — rzemiosłem. Ale to są sprawy raczej natury ekonomicznej.

S. P. O.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ”.

Teodor Dostojewski. „Młodzik”.

„Wspomnienia z martwego domu”.

F. Gładkow. „Cement”.

Maksym Gorkij. „Foma Gordiejew”.

Ilja Erenburg. „Rwacz”.

„Burzliwe życie Lejzorka Rajtszwanca”.

Jean Giraudoux. „Bella” — przekład M. Kuncewiczowej.

Bruno Winawer. „Dług honorowy”.

Juljan Krzewiński. „Baletnica”.

„Szampańskie życie”.

Antoni Marczyński. „Pieczeń z antylopy”.

„Perła Shang-Haju”.

„Wyspa nieznana”.

„Niewolnice z Long-Island”.

„Przeklęty statek”.

„Księżę Wa-Tunga”.

„Ostatnia torpeda”.

Marja Grossek-Korycka. „Serce”.

NAKLADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

Aleksander Alfred Konar. „Optymistka”.

Bronisława Włodkówna. „Równoległe ścieżki”.

Marja Zyn. „O Królowie, Księżciu i ich miłowaniu”.

Anna Leo. „Wczoraj”, gawęda z niedawnej przeszłości.

J. Krishnamurti. „Królestwo szczęścia”.

Roman Dyboski. „O Anglii i Anglikach”.

Tadeusz Peiper. „Raz” poezje.

Teresa Sapieżyna. „Wilczyca”.

Mieczysław Rytard. „Noże wiosny”.

Janina Brzostowska. „Najpiękniejsza z przygód”.

Bronisława Ostrowska. „W starym lustrze”.

„Rozmyślania”.

Dr. Antoni Bohdanowicz. „Anna Bilińska”.

Louise Labé. „Elegje i sonety” — przełożył Włodzimierz Kopa-
czyński.

WYDAWNICWO „MASKA”.

Stendhal. „O Miłości” — przełożył i wstępem opatrzył Boy-
że-
leński.Gerard de Nerval. „Aurelia i inne opowiadania” — przetłu-
maczył i przedmową opatrzył Leon Choromański.

Kobieta w świecie i w domu

TURNIEJ TANECZNY W CYRKU WARSZAWSKIM.

Ładziłby się ten, kto by sądził, że t. zwane turnieje taneczne są przeglądem wszystkich istniejących w stolicy szkół, popisem najlepszych solistek. Dają one jednak obraz ciekawy, choć niekompletny, najnowszych prądów w dziedzinie rytmiki i plastyki. Gorączka ustawicznej zmiany, poszukiwanie ciągle nowych form opanowało i tę dziedzinę sztuki. Na arenie cyrkowej pokazano nam stosunkowo mało czystego tańca, związanego organicznie z właściwą istotą jego muzyką, natomiast sówicie częstowano nas tańcami programowymi, dowolnie skomponowanymi często na tle zupełnie przypadkowej muzyki.

Nawskroś nowoczesne były kreacje z towarzyszeniem tak zwanej „muzyki perkusyjnej”. Zespół lub solistka odgrywa scenę mimiczną, której rytm podkreśla w pewnych chwilach dźwięk gongu, bębna, kołatki, dzwoneczków — jednym słowem, zmodyfikowanego jazzu. Taniec, a raczej mimika, występuje tu, jako sztuka samodzielna, dźwięk jest tylko siłą pomocniczą, wypuklającą swoisty patos momentu. Tak pojęty taniec staje się sztuką wybitnie ekspresyjną, ale zatracą pierwotny swój, czysto muzyczny charakter — przestaje być tańcem, konkuruje ze sztuką dramatyczną.

Takie np. kompozycje, jak „Misterjum wyraziste” w wykonaniu zespołu p. Mieczysławskiej, „Bunt”, z cyklu „Walki wewnętrzne” p. Prusickiej, wreszcie kreacje p. Bojarskiej, niezwykle interesujące, a mało znanej u nas solistki — wkraczały w dziedzinę jakiegoś nowego teatru, w którym gest i poza zastępuje słowo. Jesteśmy w przededniu powrotu do mimów klasycznych, które znamionowały ongi upadek teatru. Czy i dziś są one wyrazem ducha czasu?

Najwierniejsza czystemu tańcowi szkoła Tacyanny Wysockiej nie wzięła udziału w turnieju. Z występujących na pierwsze miejsce wysunęła się, zarówno skalą artystyczną, jak i sumiennością opracowania technicznego, szkoła p. Mieczysławskiej. Z solistek pani Hulanicka dała taniec monumentalny w budowie i wyrazie. Bianka Dodo — dziecinnie charakterystyczny. Próba kubistycznego zmodernizowania ruchów w „Maszynie” zespołu p. Paszkówny była ciekawym, ale nieco już zbanalizowanym eksperymentem dekoracyjnym.

S. P. O.

JAK PRACUJĄ HARCERKI.

Żeńskie drużyny harcerskie walczą też, jak wszystkie zrzeszenia, zwłaszcza młodzieży, z trudnościami mieszkaniowymi. Brak lokali do zbiórek i do ćwiczeń powoduje zupełne prawie ich zaniechanie w czasie zimowym, gdy nie można ćwiczyć na boiskach. Harcerki więc ograniczyć się muszą z konieczności do sportów i gimnastyki domowej.

Pomimo tych trudności, harcerstwo żeńskie prowadzi intensywnie prace przysposobienia wojskowego; we wszystkich chorągwiach organizowane są specjalne kursy terenoznawstwa, gazownictwa i t. p., oraz kursy instruktorskie. Nadto drużyny harcerek biorą udział w licznych pracach społecznych, jak zbiórka odzieży i pieniędzy na opał dla najbardziej potrzebujących w czasie mrozów, pogotowie na wypadek powodzi, a w stolicy systematyczna akcja wśród bezdomnych. Nadto trwają intensywne przygotowania do wystawy poznańskiej, podczas której harcerstwo mieć będzie osobny dział.

N. J.

LEWICA FRANCUSKA PRZECIWKO GŁOSOWANIU KOBIET

Na jednej z ostatnich sesyj senatu francuskiego deputowany Martin postawił wniosek wzięcia pod dyskusję projektu o prawach wyborczych kobiet, uchwalonego przez parlament w roku... 1919. Od lat siedmiu, t. j. od 1922 roku, w którym senat prawo to odrzucił, nie można było skłonić senatorów do ponownej dyskusji nad projektem. — Nie można zarzucić kobietom, że były niecierpliwe — jak zaznaczył poseł Martin. Obecnie stronnictwa, przychylne głosowaniu kobiet, postanowiły rozpocząć energiczną akcję; pierwszym jej krokiem było wystąpienie Martina. Jednakże poniósł on porażkę, głównie wskutek gwałtownej opozycji posłów z lewicy. Wniosek natychmiastowego przyjęcia pod obrady prawa głosowania kobiet upadł większością 219 głosów.

N. J.

WYSOKIE ODZNACZENIE NAUKOWE KOBIETY.

Pani Milada Paulowa, profesor historii uniwersytetu w Pradze została członkiem czeskosłowackiej akademii nauk. Jest to pierwsza w Czechosłowacji kobieta wybrana do akademii.

N. J.

ZJAZD RADY MIĘDZYNARODOWEJ KOBIET W LONDYNIE.

Komitet wykonawczy Międzynarodowej Rady Kobiet zwołuje wkrótce zjazd w Londynie. Polska wysła również na zjazd swą delegację, której członkini, p. St. Adamowiczowa, wygłosi na zjeździe referat pod tytułem: „Udział organizacji kobiecych w sprawie zdrowia publicznego”.

N. J.

PIERWSZA KOBIETA ZDOBYWA W POLSCE NAGRODĘ LITERACKĄ.

W chwili zamykania numeru otrzymaliśmy wiadomość, że znakomita autorka, Zofja Nałkowska-Gorzechowska, otrzymała nagrodę literacką miasta Łodzi „za całokształt działalności literackiej”. Nagroda, w kwocie 10.000 zł., będzie wręczona pierwszej w Polsce laureatce na uroczystym posiedzeniu Rady Miejskiej w dn. 3 maja. Zanim twórczości Nałkowskiej poświęcimy obszerniejszy artykuł, notujemy jej triumf z radością, którą niewątpliwie podziela cały nasz ogół kobiecy.

S. P. O.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pan Wł. G. Dyrektor gimnazjum. Wiersza „Miłość ziemi ojczystej” drukować nie możemy, mimo jego szlachetnej tendencji. Rękopisy odsyłamy *tylko* po otrzymaniu 25 gr. znaczka pocztowego; pisaliśmy o tem niejednokrotnie. Wrazie posyłania krótkiego rękopisu, lepiej jest zawsze zostawić sobie kopję. Za utwory, drukowane w naszym piśmie, zawsze płacimy honorarium. Numer autorski — rozumie się samo przez się.



PROSZEK „KOGUTEK”
DLA DOROSŁYCH

**USUWA NAJUPORCZYWSZY
BÓL GŁOWY**

CHCĄC NABYC PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAĐAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GASECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIEŚCIU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE UPORCZYWIE POLECANE, NAŚLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.

JAK PRACUJĄ KOBIETY

II.

Prawniczki

Zdawałoby się, sądząc z ilości kobiet, uczęszczających na prawo, że ten rodzaj zawodu zdawien dawna jest kobietom znany, przyswojony i, rzeczby można, poufały.

Tak jednak nie jest: prawo po dziś dzień pozostało dla kobiet terenem nanowo zdobytym i jeszcze niezupełnie opanowanym, jeżeli chodzi o swobodę ruchów w odpowiednim wyzyskaniu nabytych wiadomości. Przeważna ilość niewiast, kończących uniwersytet z szumnym tytułem — magister praw, pijana samą cudownością tego właśnie tytułu — z podniebnych marzeń o własnej niezwykłości spada, siłą bezwładu, w szarzynę pracy biurowej i tam tkwi do zamążpójścia, albo do innego, również zasadniczego zdarzenia swego życia.

A czasami — to już zawsze. Jest to może droga najmniejszego oporu, ale nie najszcześniejsze, a tembardziej nie jedyne wybrnięcie z sytuacji, w jakiej kobietę w danej chwili postawił tytuł — magistra praw. Istnieją bowiem jeszcze inne drogi, racjonalniejsze, choć mniej wydeptane: adwokatura i sądownictwo. Wymagają one jeszcze aplikantury w sądzie, lub u tak zwanego „patrona“, czyli jakiegoś znanego adwokata, a także egzaminu sędziowskiego i adwokackiego. Z kobietą-adwokatką otrzaskaliśmy się już potrochu. Wiemy, że są takie, spotykamy się w sądzie z ich przemowami, niekiedy bardzo udatnemi, i wiemy, że mają tak samo dużo klientów, jak i adwokaci-mężczyźni. Bezwzględnie został przełamany już ten mur nieufności, jaki dzielił kobietę-prawniczkę od społeczeństwa; coraz częściej spotyka się ona z uznaniem swej pracy, zarówno ze strony kolegów, jak też tak zwanych „klientów“.

Jak wszystkie rodzaje pracy, tak i prawo, a ściślej mówiąc, obrona prawna specjalizuje się w rozmaitych kierunkach, jak kwestje spadkowe, rozwodowe, karne i t. d. Otóż praca kobiety w tej dziedzinie odznacza się pewnego rodzaju wszechstronnością, ogarnia mniej więcej wszystkie te działy, nie spotykając się ze specjalnymi trudnościami.

Jednym z najbardziej zasadniczych plusów kariery adwokackiej jest, oprócz dobrej sytuacji materialnej, zupełna niezależność pracy, niezależność moralna i intelektualna, pozwalająca na samodzielne poczynania i koncepcje na terenie własnym, oddzielnym od innych zupełną swobodą działania.

Karjera sędziego dla kobiety jest obecnie, w naszym pojęciu, jeszcze czemś niesłychanie mglistem. Mamy pierwszą dopiero kobietę na tem stanowisku i nie wiemy, jak się ułożą te sprawy i jaką linią posunie się naprzód praca zawodowa kobiety-sędzie-

go. Mam wrażenie, że to będzie jednak droga najcięższego oporu: pomimo, że nie zdaje się już egzaminu adwokackiego, jednak długa aplikantura, z oczekiwaniem na nominację, nie należy do najprzyjemniejszych.

Jednak — do zwycięzców świat należy. Przypuszczam, że zawód sędziego dla kobiety ma przed sobą dużą przyszłość: trzeba tylko energicznie zabrać się do przełamania lodów nieufności, jakie oddzielają jeszcze tę pracę kobietą od serdecznego zrozumienia społeczeństwa. Jedna jaskółka nie robi wiosny — jedna pani Grabińska nie jest jeszcze definitywnym zwycięstwem niezależności kobiecej.

Tak czy inaczej — prawo przestaje być dla kobiety ziemią niezdobytą i niechętną.

Jeszcze parę lat, a kobieta-adwokat czy sędzia — będzie tak samo rozumiała, jak kobieta nauczycielka i urzędniczka. Przytem są to tereny niewyzyskane, nowe, a przez to, kto wie, czy nie złotodajne. Nie chciałabym zasłużyć na zarzut, że propaguję skrajny materializm, ale jestem wyraźnie przeciwna pracy dla idei bez zabezpieczenia sobie bytu materialnego. Bieda jednostek jest biedą kraju, a najlepiej jest połączyć wzniosłe z praktycznym. Prawo daje pole potemu, bo jednak, nie wyznając skrajnego feminizmu, twierdząc, że kobieta do pracy wnosi wartości, których bezwzględnie nie posiada mężczyzna, a mianowicie: dar intuicji, większą, bo subtelniejszą, wnikliwość, a przede wszystkim — entuzjizm uczuciowy. Przy pomocy tych wartości może kobieta położyć nacisk na takie punkty swej pracy, które dotychczas trwały niezauważone, i tym sposobem przynieść wielkie korzyści społeczeństwu.

Zofja Miszewska.



CEREMONJAŁ I JEGO ŹRÓDŁO

I.

Zdanie jednego z uczonych, wyrażające myśl, że gdyby nie Bóg stworzył był człowieka, to bez wątpienia człowiek stworzyłby sobie Boga — stwierdza istnienie w duszy ludzkiej wrodzonej człowiekowi, instynktownej wprost potrzeby uwielbiania jakiejś wyższej istoty, oddawania jej czci i korzenia się przed czemś, choćby niewiadomem, choćby tylko przeczuwanem, a potężnem.

Spostrzeżenie to słuszne, gdyż na wszystkich stopniach cywilizacji i kultury widzimy zaczątki jakiegoś mniej lub więcej rozwiniętego, mniej lub bardziej podniesłego kultu religijnego. Niezrozumiałe zjawiska przyrody, groźne lub dobroczynne jej siły ubiera człowiek w kształt jakiś widomy i zapomocą ofiar i ze-

wewnętrznych oznak: błagania, pokory, czy uwielbienia — stara się zjednać je sobie, łaskę ich sobie zaszkarbić, przychyłność i pomoc w ciężkich okolicznościach życia zapewnić.

Takie jest w ogólnych zarysach pochodzenie wszelkich obrzędów, spontanicznie stworzonych i przez ogół przyjętych i uświęconych, a mających swe źródło w naturalnej potrzebie duszy ludzkiej.

Skłonność tę do poddania się pod opiekę i kierownictwo istoty potężniejszej, budzącej w otoczeniu grozę i ufność zarazem, wyzyskiwali najdzielniejsi umysłowo czy fizycznie w danej ludzkiej gromadzie i stawali na jej czele, czy to jako kapłani, czy też świeccy władcy.

Narzuciwszy reszcie swą wolę i zdobywszy władzę nad liczną, ale słabą rzeszą, kierowali jej losami.

Ta ich wyjątkowa rola wymagała także pewnego widomego kształtu, czy wyrazu dla ich potęgi i znaczenia. Dla zachowania swego prestige'u wobec poddanych, ukazywali się im więc zrzadka, olśniewając przepychem swego stroju i klejnotów; otaczali się pocztą dostojników, imponujących także zewnętrznymi oznakami bogactwa i symbolami władzy, oraz tworzyli ceremonjał, mający na celu odgrodzenie ich majestatu od reszty śmiertelników. W ceremonjale tym dopatrzeć się nietrudno form pokrewnych tym, jakie używane są przy oddawaniu czci bogom, boć i sam władca wmawiał w poddanych, że władza jego od Boga pochodzi i pomazańcem Boga nazywać się kazał.

Ceremonjał, otaczający osobę panującego, różny był u różnych narodów, miał jednakże tę cechę wspólną we wszystkich krajach i na wszystkich stopniach kultury, że wykazywał tem więcej serwilizmu, im władza głowy danego państwa bardziej była absolutna. Na Wschodzie, gdzie monarcha, w myśl tradycji, przez szereg wieków uświęconej i przekazywanej, był panem życia i śmierci poddanych, gdzie fantazja władcy była jedynym prawem, gdzie mógł on poniewierać godność ludzką i deptać ją dowolnie i gdzie tłumiony bunt w duszy pokrzywdzonego człowieka jedyną był na to bezprawie odpowiedzią — poddani płaszczyli się przed swym władcą.

Jak sfory psów, warujących u stóp swego pana, na skinienie gotowi byli lizać jego stopy, choć kąsaćby je mieli raczej ochotę; pełzali przed nim, jak pługawe robactwo. Strach zabijał w nich wszelkie ludzkie uczucia. Bali się — i to było źródłem nieograniczonej niczem władzy tyrana, a zarazem źródłem upodlenia zarówno jego samego, jak i tyranizowanych przez niego poddanych — niewolników, ślepo jego rozkazom posłusznych, w obawie kary, od jego uznania zależnej, dyktowanej chwilową fantazją, lub wrodzonym okrucieństwem.

Typowy przykład takiego stosunku do nieograniczonego pana dostarcza panowanie Iwana Groźnego w Rosji. Historia notuje fakt, że car, rozmawiając

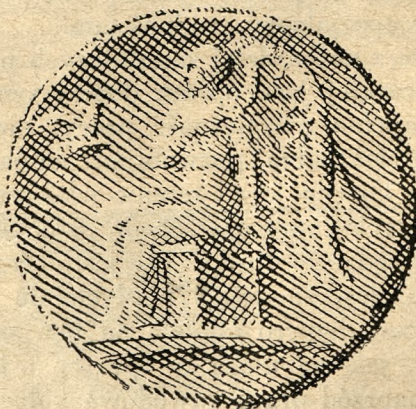
kiedyś z bojarem Iwanem Kołossowym, wspierał się na mieczu, którego końcem przygwoździł do podłogi stopę nieszczęśnika. Ten ostatni zmuszony był prowadzić rozmowę i nawet skrzywieniem twarzy nie śmiał zdradzić, że cierpi nieludzkie katusze, bo etyka dworska wymagała zadowolonej twarzy poddanego w obliczu monarchy.

W miarę wzrostu kultury, ceremonjał nabierał cech łagodniejszych. Monarchowie, choć wiedzieli, że widome znaki ich wyjątkowego stanowiska potrzebne są dla utrzymania majestatu i powagi wobec poddanych, jednak oznakom tym starali się nadać charakter bardziej estetyczny. Objawy nieposkromionych wybryków i namiętności, budzące wstęt w ludziach cywilizowanych, przestały być środkiem nadawania sobie powagi. Zastąpiły je szczegółowo obmyślane uroczystości, z których okazji panujący miał możliwość imponować otoczeniu bogactwem swego stroju, wykwintem otaczających go dzieł sztuki, wytwornością zachowania się, której i od swego najbliższego otoczenia, a więc od swej rodziny, dostojników państwa i dworzan, wymagał. Na dwór swój starał się przyciągnąć ludzi wybitnych, wyróżniających się rozumem lub talentem na polu literackim, czy artystycznym i te ich specjalne uzdolnienia wykorzystywać dla dodania blasku i świetności epoce swego panowania.

W miarę wzrastającej cywilizacji poczucie ludzkich praw budziło się w coraz większych kołach społeczeństw zorganizowanych. Trudniej zmuszać do ślepego posłuszeństwa tych, co sami, świadomi swych wartości moralnych i umysłowych, czują się zdolni do krytyki tego, co istnieje, do obalania zmurszałych wartości i stawiania na ich miejsce innych, jutrzenką nowego świtu premiennych.

Te zmiany wewnętrzne nastroju i życia mają swój widomy wykładnik w zmianie stosunku poddanych do ich naczelnej władzy. Pewne oznaki uszanowania otaczają ją zawsze, pewien uświęcony ceremonjał towarzyszy i tu wystąpieniom publicznym przedstawiciela państwa — ale widocznym w nich jest, że więcej tu chodzi o symbol, którego jest on materjalnem wyobrażeniem, niż o osobę właściwą.

L. Gerlachowa.





Wybiegi dla drobiu i kurniki w Julinie. W głębi dom kierowniczeki

PLACÓWKI GOSPODARCZE DLA KOBIET

W roku ubiegłym zamieścił „Bluszcz” szereg artykułów p. Miszewskiej, podających wskazówki dla pracy zawodowej kobiet. Jeden z nich omawiał sprawę przygotowania do pracy gospodarczej; wobec wielkiej doniosłości tego zagadnienia, podejmuję je ponownie, tym razem, aby wskazać cały szereg placówek, do których dziś kobiety mogą się zawodowo przygotować i objąć stanowiska niezmiernie pożyteczne, a przez swą pracę, opartą na zawodowej wiedzy, przyczynić się do rozwoju ważnych źródeł bogactwa narodowego i wnieść do nich elementy kultury i postępu.

Charakterystyczną cechą dotychczasowej pracy gospodarczej kobiet był jej ogromny zakres, obejmujący wszystkie działy gospodarstwa, poczynając od zarządu domem, hodowli drobiu i świń, kończąc na mleczarstwie, a często nie wyłączając ogrodnictwa. Gospodyni wiejska musiała umieć wszystko — nie dziwne, że umiejętności jej, nabyte przeważnie drogą samouctwa, często bardzo były niewystarczające i do współczesnego poziomu rolnictwa nie dopasowane.

Z chwilą też, gdy po skończonej wojnie rozpoczęła się wytężona odbudowa naszych gospodarstw, z dążeniem do postawienia ich na takiej stopie, żeby nie pozostać zbyt daleko poza postępem gospodarczym innych państw, gdy coraz liczniej zaczęły się tworzyć nie tylko prywatne, ale i spółdzielcze placówki gospodarcze — sprawa przygotowania zawodowo wykształ-

conych kierowniczek, wyspecjalizowanych w jednym dziale, stała się nad wyraz aktualną; zaczęły też powstawać uczelnie, poświęcone poszczególnym działom gospodarstwa, w których można osiągnąć zupełnie poważne przygotowanie, o ile się do niego przystępuje nie tylko z zapałem i dobrą wolą, ale także z wytrwałością i zamiłowaniem do pracy.

Szereg krótkich artykułów, omawiających pracę gospodarczą kobiety na wsi, obejmie następujące specjalności: *hodowlę drobiu, mleczarstwo, ogrodnictwo, rolnictwo, gospodarstwo domowe, instruktorstwo i nauczycielstwo.*

HODOWLA DROBIU

Jest to dział gospodarstwa, do którego kobiety mają u nas szczególne zamiłowanie; i nie dziw, bo jest on dla nich nad wyraz odpowiedni, wymaga bowiem cierpliwości, wytrwałości i delikatności, czego normalnym kobietom nie brak.

Wszystkie jaja, wywożone z Polski w ilości 50 do 60 tysięcy tonn rocznie, zawdzięczamy zamiłowaniu gospodyń do hodowli; podnieść jej poziom, stworzyć i prowadzić stacje zarodowe, konkursy nieśności; uczyć gospodynie, jakimi drogami mogą rozwinąć swoje hodowle, zakładać i prowadzić zbiornice jaj — oto zadania ze wszech miar odpowiednie dla kobiet.

Wielka miłośniczka hodowli, p. Helena Paderewska, która za swój drób zdobywała medale na wystawach w całym świecie, chcąc się przyczynić do

podniesienia tej gałęzi wytwórczości, założyła stację i szkołę hodowli drobiu w Julinie, oddalonym o 3 klm. od stacji Urle, a 7 klm. — od Łochowa.

Julin jest przepięknie położony nad rzeką Ławcem, wśród lasów, rosnących na suchym, piaszczystym podłożu. Ogromny dom obejmuje kilkanaście pokoi; przed nim rozciąga się szereg wybiegów, z których każdy posiada wygodny kurnik z gniazdami zatrzaskowymi i grzędami dla jednego gniazda kur. Hodowane są w nich kury różnych ras, a przede wszystkim zielononóżki, leghorny, karmazyny, oraz wspaniałe kaczki, gęsi, indyki, perlice i bażanty. Lęgniki i wychowalnie różnych systemów, klatki dla młodzieży, dobre pomoce naukowe — dopełniają całości.

Całokształt zakładu, ofiarowanego przez p. Paderewską Centralnemu Towarzystwu Rolniczemu, pozostaje pod kierunkiem Rady opiekuńczej. Dyrektorem hodowli jest p. Trybulski; kierownictwo działu hodowlanego było w roku ubiegłym w ręku p. Zabłockiej, pierwszorzędnej siły hodowlanej. W tym roku p. Z. objęła instruktorjat w Komitecie do spraw hodowli drobiu i może jedynie dojeżdżać do Julina, nie bawiąc tam już stale; z tego powodu zorganizowany będzie tylko 4-miesięczny kurs hodowli, rozpoczynający się 15 kwietnia.

W jesieni wraca z Anglii p. Helena Dochówna, która po odbyciu praktyki kończy kurs w instytucji Harper Adams, uznanym jako najlepszy zakład naukowy hodowli drobiu w Europie; po odpowiednim urządzeniu szkoły w Julinie, wybudowaniu dużego kurnika dla niosek, oraz innych brakujących dziś budynków, rozpocznie się 10-cio miesięczny kurs na właściwym poziomie i pod doskonałym kierunkiem.

Obecny kurs 4-ro miesięczny służyć może dla hodowców, chcących prowadzić hodowlę praktycznie; podobny kurs, który odbył się dwa lata temu, wydał szereg bardzo zdolnych pracowników.

Dla przyjęcia do szkoły w Julinie wymagane jest ukończenie 6-ciu klas szkoły średniej z dobrymi



Prześwietlanie jaj z lęgnika dla sprawdzenia zależenia

postępami z przyrody i matematyki, 16 lat skończonych i dobre zdrowie. Wpisowe wynosi jednorazowo 25 zł., opłata w internacie — 90 zł. miesięcznie.

Po ukończeniu 4-ro miesięcznego kursu, można się ubiegać o posadę prywatną; po ukończeniu kursu 10-cio miesięcznego, uzupełnionego samodzielną praktyką, można liczyć na stanowisko instruktorki lub nauczycielki hodowli drobiu, kierowniczkę albo kontrolerkę stacji zarodowych.

Zgłoszenia przyjmuje szkoła w Julinie (p. Łochów).
M. Karczeńska,

SROGA ZIMA A ROŚLINY

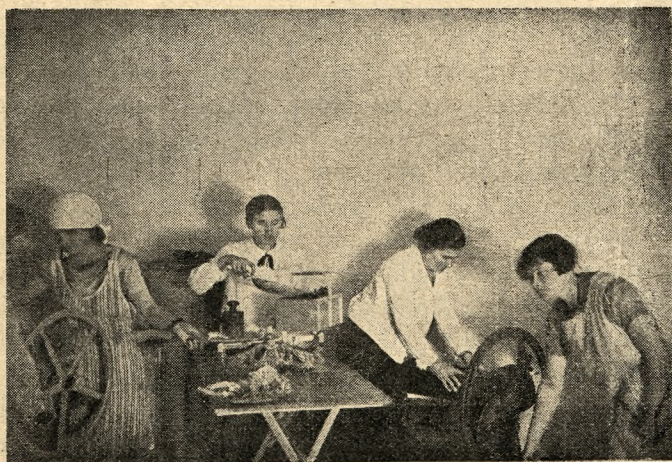
Jak wspomniałem, nie tylko Polskę nawiedziły silne mrozy i wyrządziły szkody w drzewostanie. Takie same skutki katastrofalnej zimy sygnalizują piśma zagraniczne, z Niemiec, Czechosłowacji i Austrii. Mam właśnie przed sobą marcowy zeszyt czasopisma austriackiego „Illustrierte Flora”, które wylicza odmiany i gatunki, uznane na podstawie tamtejszych dostrzeżeń za odporne lub wrażliwe. Warto porównać dane tamtejsze z naszymi obserwacjami.

Na 91 badanych odmian i gatunków, silne uszkodzenia wykazało 70 proc., a tylko 4 gatunki znalazły się nietknięte. Były to: jabłoń rajska (*Malus baccata*), jabłotka szlachetna odmiany Krótkonóżka królewska, porzeczka i dzika leszczyna!

Na 25 badanych odmian gruszy, wszystkie zostały uznane, jako bardzo silnie uszkodzone, nawet odmiany moszczowe, t. j. do wyrobu win.

Z jabłoni szlachetnych dość odpornymi okazały się następujące odmiany: żeleźniak, piękne z Boskoop, reneta Koxa pomarańczowa, Fiessers Erstling, charłamówka, reneta Harberta, aport.

Nieznaczne szkody wyrządził mróz wśród agrestów.



Przygotowywanie paszy dla kur

Silnie uszkodzone zostały odmiany jabłoni: Ontario, reneta kanadyjska, złota parmena zimowa, kalwila jesienna czerwona, reneta ananasowa, reneta szara jesienna, pepina Parkera, reneta Landsberska, belle fleur, reneta Bauman, reneta kaselska i różanka wirginijska.

Ostateczne rozmiary szkód nie dadzą się ustalić przed rozpoczęciem okresu wegetacyjnego. Nie wszystkie pędy, które wiosną wypuszczają listki, mogą być uważane za zdrowe, bo i wtedy jeszcze mogą stopniowo zamierać. Więc oczyszczenie koron ze zmarzniętych gałęzi będzie można przedsięwziąć dopiero, gdy przyrost osiągnie około 10 cm długości.

* * *

Zatem sady nasze ulegną w tym roku bardzo widocznemu przerzedzeniu. Strata jest bardzo bolesna, bardzo dotkliwa i nie przyczyni się do podniesienia dochodowości działu ogrodniczego. Ale jest pewna ilość sadów, dla których klęska ta okaże się zbawienną.

Mam na myśli tak pospolite u nas sady, od początku, od założenia, za gęsto posadzone. Bardzo trudnym zadaniem naszym, ogrodników - architektów, jak i instruktorów ogrodniczych, jest wpojenie świadomości, że jabłonie i grusze potrzebują odstępów od 10 do 12 metrów, czereśnie od 8 do 10, wiśnie i śliwy od 5 do 6 metrów, a orzechy włoskie nawet 20 metrów. Szczep w okresie sadzenia wydaje się taki mały, tak trudno go sobie wyobrazić w postaci rozłożystego, dorosłego drzewa, o bujnie rozwiniętej, olbrzymiej koronie! A zarazem tak szkoda miejsca pustego pomiędzy drzewami, tak chciałoby się wyzyskać je, sadząc gęściej, żeby ten młody sad odrazu uczynić bardziej do sadu podobnym!

Więc sadi się drzewka co parę metrów, a potem powstaje zagajnik, później las, puszcza cieniasta. Ale wyciąć wporę żal, serce boli, szkoda. Więc jeszcze rok, jeszcze drugi się czeka, a tam, pod powierzchnią ziemi, korzenie splątują się, krzyżują, przenikają pod korony drzew sąsiednich w wysaną doszczętnie ziemię, a drzewa... głodują.

Dla tych więc sadów wymarzenie części drzew będzie dobrodziejstwem. Naturalnie, byłoby ono jeszcze korzystniejsze, gdyby można było wejść z panem mrozem w układy i poprosić go o uprzątnięcie drzew nieplodnych, albo chorych, albo o zabicie poszczególnych rzędów, lub drzewek co drugie, czy co trzecie...

Byłoby to pięknie, ale, niestety, nie dało się zrobić. Nie pomyśleliśmy o tem zawczasu. Więc tu i owdzie powstaną golizny, drzewostan może się wytworzyć bezładny, i w sadzie tylko gorsze mogą pozostać odmiany. Jakże teraz postępować dalej?

U gęsto sadzących miłośników drzew wyrodi się natychmiast myśl: dosadzać. I to coprędzej, żeby nie tracić drogiego czasu, żeby jaknajrychlej pogoić

rany i wypełnić luki! Przed tem właśnie chciałem przestrzec.

Rosnąć szereg lat na jednym miejscu, drzewo korzeniami wyczerpuje z ziemi potrzebne mu składniki odżywcze, a równocześnie zatrzuwa, względnie zakwasza ziemię wydzielinami korzeni, potrzebnymi do rozpuszczenia składników, które dopiero pod wpływem owych wydzielin stają się dla korzeni dostępne. Jeżeli do takiej wyczerpanej i zatrutej ziemi wsadzimy nowe drzewko, to ono nie może się normalnie i pomyślnie rozwijać, nie może wyrosnąć na płodne, okazałe drzewo. Miejsce po sadzie musi być uprawione głęboko (orka piętrowa lub regulówka), z dodatkiem wapna niezasowanego i nawozów naturalnych i pomocniczych. Musi być na kilka lat wzięte pod uprawę bądź ogrodowizn, bądź płodów rolnych, jak rośliny motylkowe, lub okopowizny na nawozach, i dopiero gdy tak ziemia wypocznie, gdy jej przywrócimy zasoby pokarmowe, dopiero wtedy może ona być ponownie przeznaczona pod założenie sadu. Ale i wtedy jeszcze byłoby wskazane sadzenie ziarnkowych po pestkowych (lub odwrotnie) oraz kopanie nowych dołów nie w tych samych miejscach, gdzie drzewa stały poprzednio, lecz nowe rzędy wyznaczać pomiędzy dawnymi. I, naturalnie, sadić już w odstępach prawidłowych, najlepiej w myśl wskazówek wykształconego ogrodnika. Nie zapominajmy, że sad zakłada się raz na lat kilkadziesiąt, że błąd popełniony mści się przez dziesięciolecia: że można go małym kosztem uniknąć w zaczątku, a często nawet drogą znacznych ofiar nie można go usunąć w późniejszym okresie!

Sadźmy też tylko drzewka pierwszorzędne. Oszczędność na materiale wyrazi się w groszach na sztuce, a straty późniejsze pójdą w setki i tysiące złotych, nie mówiąc już o latach, napróżno straconych.

Nie łatwo jednak będzie teraz o materiał do zakładania sadów, aczkolwiek bliską już zdawała się chwila nadprodukcji drzewek owocowych w Polsce. Teraz otworzyło się znowu szerokie pole, rozległy rynek zbytu, jeżeli właściciele sadów postanowią doprowadzić liczbę swych drzew do pierwotnej wysokości.

Zapasy szczepów w szkółkach pomarzęły tak samo, jak w sadach, więc znowu lat całych będzie potrzeba, żeby zapotrzebowaniom uczynić zadość, żeby podaż szczepów odpowiadała popytowi. Niema mowy też o wykonywaniu w tym roku szczepień wiosennych, o ile kto nie zebrał zrazów w jesieni i nie przechował ich w miejscu, niedostępnym dla mrozów.

Jednak, wskutek nieurodzaju, na owoce popyt będzie duży i ceny wzrosną; to też posiadacze ocalałych sadów owocujących powinni dolożyć starań, żeby dostarczać na rynek towar dorodny, a nie poplamiony, zniekształcony, skarłowaciały, niesmaczny. Powinni się starać o to, żeby ani jedno jabłko, ani jedna gruszka nie opadła wskutek porażenia jej przez

czarny grzybek, ani przez inne choroby lub szkodniki. Narazie najgroźniejszy jest ów czarny grzybek (*Fusicladium*), występujący na jabłkach i gruszkach. Walka z nim, jak i ze wszystkimi prawie chorobami, wywoływanymi przez grzybki pasożytnicze, polega na zraszaniu zapobiegawczem całych drzew preparatami miedziowemi, i na późniejszym skrapianiu drzew temi samymi cieczami, które przeciwdziałają rozwijaniu się grzybka, jeżeli już się pojawił.

Taką cieczą grzybkobójczą jest znana oddawna ciecz bordoska, lub zastępujący ją doskonale gotowy preparat Arbosan, sprzedawany we wszystkich większych składach nasion. Ten ostatni jest zawsze gotowy do użytku, posiada niezmienny skład chemiczny i uzyskał przychylną ocenę krajowych instytucji naukowo badawczych. Jest to środek krajowy, więc i z tego powodu zasługuje na polecenie. Zraszanie temi środkami należy wykonywać kilkakrotnie od najwcześniejszej wiosny, powtarzając je co dwa do trzech tygodni.

Te same środki grzybobójcze znakomicie działają na porzeczki, z których przedwcześnie liście opadają; chronią róże od białego nalotu, który niszczy pączki kwiatowe i wierzchołki młodych pędów; ratują opalone przez mącznicę złocienie. Arbosan zaś okazał się skuteczny nawet przy zwalczaniu zarazy agrestowej.

Ponieważ drzewa będą musiały dużo soków zużytkować na odbudowanie koron, na gojenie tkanki chorej i tworzenie nowej, więc trzeba im też gorliwie w tej pracy dopomagać, zasilając je obficie. Zatem, skoro tylko ziemia rozmarźnie, przy uprawie ziemi pod drzewami zaleca się dać pełną dawkę nawozów pomocniczych, ze szczególnem uwzględnieniem azotowych, następnie zaś zasilić drzewa w końcu maja lub w początku czerwca raz jeszcze nawozami pomocniczymi, rozpuszczonymi w wodzie, albo rozcieńczoną gnojówką. Wszystkie te zasilki dawać należy pod obwódem zewnętrznym korony, wylewając je w wykopane rowki, albo w pokopane dołki. Wody przytem żałować nie należy. Pamiętajmy, że drzewo zakorzenia się głęboko i posiada obfity, rozgałęziony system korzeniowy. Niechże więc dawka pokarmów nasyci ziemię tak obficie, żeby dotarła do wszystkich korzeni.

Stan. Schönfeld.

Koniecznem uzupełnieniem wiosennego stroju jest barwna apaszka, którą każda z pań z łatwością własnoręcznie wykona po nabyciu książeczki p. t.

„MALOWANIE, LIWORYZACJA, TAMPONOWANIE“
opatrzonej artystycznymi wzorami naturalej wielkości

Cena 1 zł. 50 gr. Z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.
Do nabycia w Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Pl. Zamkowy 9.
Konto P. K. O. Nr. 13.555.

WYCHÓW KURCZĄT PRZY POMOCY NAŚWIETLANIA LAMPĄ KWARCOWĄ

Jak zbawiennym czynnikiem w wychowaniu każdej żyjącej istoty jest słońce, to rzecz już dawno i wszystkim wiadoma i nad tem w tej chwili zastanawiać się nie będziemy, a przejdziemy wprost do opisu działania naświetlań lampą kwarcową — tem sztucznem słońcem.

Oddawna już czytamy w dziennikach amerykańskich i angielskich o błogosławieństwie światła górskiego, które w danym wypadku zastępowane bywa lampami kwarcowymi, sami jednak dotąd naocznie przekonać się o tem nie mogliśmy, gdyż, o ile mi wiadomo, u nas w kraju nikt jeszcze instalacji takiej dla celów czysto hodowlanych nie posiada. Główna trudność w tym wypadku, to brak na wsi oświetlenia elektrycznego, które jest nieodzownym warunkiem działania tej lampy. Ludzie, którzyby chętnie podjęli trudy doświadczeń i dzielili się z szerszym ogółem swemi spostrzeżeniami, mają ręce związane z powodu powyższej trudności; tym zaś, nielicznym wybrańcom losu, którzy już o siedzeniu w długie zimowe wieczory przy naftowych lampach zapomnieli, poprostu nie chce się podjąć tej uciążliwej i drobiazgowej pracy, i dlatego to, co dla Amerykan jest już chlebem powszednim, dla nas zdaje się być bajką z tysiąca i jednej nocy. Podatnym gruntem do wszelkich doświadczeń są Nieny i tam nietylko stacje hodowlane — doświadczalne, ale i poszczególne gospodarstwa próby przeprowadzają. Pismo „Land und Frau“ dzieli się z czytelniczkami następującemi spostrzeżeniami dr. Sch.

— Po raz pierwszy w tym roku wylęgło się u mnie ze 120 jaj, włożonych do sztucznej wylęgarni — 101 kurcząt, które w izbie, przeznaczonej na dalszy ich chów, były codziennie przez 20 minut naświetlane lampą kwarcową. Szybki ich wzrost przeszedł moje oczekiwania. Przy starannej opiece, wzorowej czystości, zadając im karmę, złożoną z 1 części kaszy owsianej, 1 cz. kaszy gryczanej, 1 cz. mielonej kukurydzy, 2 cz. otrąb pszennych, 2 cz. mąki z kukurydzy, 1 cz. mączki kostno-mięsnej, 5 cz. młodych pokrzyw posiekanych, i licząc na każde 50 kurcząt 2 stołowe łyżki tranu dziennie oraz do picia świeżą maślanek i naświetlając je regularnie przez 20 minut dziennie — nie straciłam ani jednego kurczęcia. Małe te stworzonka rozkoszowały się ciepłem lampy, kładąc się i wyciągając, jak to zwykły czynić w lecie, gdy słońce dobrze przygrzewa; opierały się nadzwyczaj szybko i po upływie trzech tygodni same już podfruwały na grządki. W tym czasie ważyły 220 — 250 gr., gdy inne nienaświetlane kurczęta dochodzą najwyżej do 150 gr.

W drugiej połowie marca (rok był cieplejszy, niż obecny) zaczęłam je wypuszczać na dwór i zauważyłam wyjątkową ich odporność na duże jeszcze chłody. W roku zeszłym, karmiąc zupełnie jednakowo, bez naświetlań, miałam duży ubytek w pierwszych czterech tygodniach, to też twierdzę stanowczo, że wpływ naświetlań lampą kwarcową jest zbawienny. Musiało to zastanowić również uczestniczki jednej wycieczki, organizowanej przez szkołę gospodarczą, gdyż na pytania moje, w jakim wieku są te kurczęta — jednogłośnie uznały je za dwa razy starsze.

Przy następnym lęgu posunęłam doświadczenia moje tak daleko, iż naświetlać zaczęłam już jajka podczas kilku minut wietrzenia ich (przy sztucznym wylęganiu) i z radością przekonałam się, iż kludy się znacznie łatwiej i równiej. W następnym roku chcę próbę tę wykonać w jeszcze wcześniejszym okresie, t. j. już od początku zimy naświetlać kury, przeznaczone na chów, a wynikami doświadczeń z ich potomstwa chętnie się znów w swoim czasie z Szan. Czytelniczkami podzielę.

A. D.



W SEZONIE JAJ

JAJA NADZIEWANE NA GORĄCO.

Duże jaja kurze — mogą też być użyte jaja indycze, albo kacze — ugotować na twardo. Po ostudzeniu przekrajać wraz z łupinką bardzo ostrym nożem. Żółtko i białko wyjąć ostrożnie, nie uszkodzając łupinki. Posiekać razem drobno, dodać na dziesięć jaj dziesięć deka tartej bułeczki, pięć deka masła, garstkę koperku i tyleż zielonego szczypiorku, jedno i drugie doskonale posiekane. Osolić, popieprzyć. Jeśli masa zbyt sucha, dodać parę łyżek rosołu, śmietany lub mleka. Wyrobić doskonale wszystko razem i nałożyć na powrót do skorupki, nadając każdej połówce kształt całego jajka. Można te jajka skropić po wierzchu masłem i wstawić na kwadrans w piec, aby się upiekły, lub też nadzienie zlekka spłaszczyć i przysmażyć na maśle, obficie rozpuszczonem na patelni. Można też, robiąc nadzienie, włożyć weń kilka grzybków suszonych, ugotowanych i drobno posiekanych, lub też kilka drobno pokrajanych i przesmażonych pieczarek. Takimi jajami można okładać szpinak, szczaw, puree kartoflane. Podać je z sosem śmietan-

kowym lub pomidorowym; sos podawać oddzielnie w sosjerce. Można też te jaja podawać same i do nich małe kulki masła śmietankowego lub sardelowego.

JAJA NADZIEWANE — NA ZIMNO.

Ugotować jaja kurze na twardo. Wprost z wrzątku wrzucić je do zimnej wody, aby skorupka łatwiej odstąpiła. Gdy ostygną, oczyścić z łupin, rozkrajając wzdłuż na połówki. Żółtko wyjąć, dodać drobno usiekanego, wpiętego wymoczonego i obranego starannie z ości, śledzia-ulika, lub pięć, sześć utartych na masę sardynek, żółtka z jaj, odrobinę soli, białego pieprzu, utartą na tarce łagodną cebulę. Ucierać, aż masa się stanie zupełnie jednolita. Kto lubi smak bardziej ostry, może dodać musztardy angielskiej w proszku, kilka kropel sosu Cabul lub Worchester, albo sosu Ninabur, polskiego preparatu, który powinien zastąpić niemieckie Maggi. Masę nałożyć w połówki białek, nadając całości pierwotny kształt jajka. Można też masę przyrządzić bez śledzia, a paski śledzia lub połówki ostrych rybek „appetit sild“, ułożyć na gotowych jajkach. Jajka poukładać na kryształowych kompotjerkach i zalać sosem majonezowym. Podawać bardzo zimne do przekąski.

JAJA W SOSIE CHRZANOWYM

Duże jaja kurze włożyć we wrzącą wodę, gotować pięć minut i przełożyć do wody bardzo zimnej. Przy takim sposobie gotowania otrzymamy tak zwane jaja w koszulkach, czyli po ostrożnem zdjęciu skorupki białko będzie zupełnie ścięte, a żółtko pozostanie miękkie. Ile mamy jaj, tyle przygotowujemy cieniutkich płatków przerastającej szynki, baleronu, a nawet wędzonego i ugotowanego boczku. Każde jajko zawiniemy w taki płatek tak, aby wyglądały jak zraziki zawijane. Układamy je na półmisku i zalewamy sosem następującym. Na dziesięć jaj utrzyć spory korzeń chrzanu, skropić go octem, osolić, posypać łyżeczką cukru. Potrzymać tak godzin parę, aby zbytnia ostrość chrzanu znikła. Rozprowadzić sporą łyżką masła, włożyć weń chrzan i dusić wolno minut pięć. Wsypać łyżkę maki, zasmażyć razem. Rozprowadzić półtora szklanką rosołu lub wody. Zagotować. Dodać pół szklanki gęstej, kwaśnej śmietany i odrobinę pieprzu, zagotować raz tylko razem i polać jaja, ułożone na półmisku. Wkoło obłożyć półmisek kartoflami z wody. Można też tak przyrządzone jaja ułożyć na półmisku ogniotrwałym, polać sosem, który powinien być bardzo gęsty, posypać tartą bułeczką, zmieszaną z ostrym serem, skropić masłem i wstawić na górną kondygnację pieca dla zrumienienia.

JAJA PO WŁOSKU.

Dwadzieścia deka makaronu grubego polamać na drobne kawałki, ugotować w osolonym wrzątku,

odcedzić. Oddzielnie przygotować dziesięć jaj w koszulkach, jak do sosu chrzanowego. Nakoniec pokrajać w cienkie paski trzy duże cebule i poddusić je do lekkiego zrumienienia w sporej łyżce masła. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem, układać w niej rzędami makaron, jaja i cebulę. Dolny i górny rząd powinien być z makaronu. Zasmażyć łyżkę mąki z łyżką masła, włożyć w to dobrych parę łyżek marmelady pomidorowej, lub około szklanki rzadkiej konserwy pomidorowej z butelki, zasmażyć razem. Rozprowadzić rosołem mięsnym lub wodą (w ostatnim razie rozpuścić w wodzie kostkę buljonową), zagotować razem (sosu, niezbyt gęstego, powinno być nie mniej od dwóch i pół szklanki). Polać tym sosem potrawę, posypać serem — w braku parmezanu może być zielony serek ziołowy — i wstawić na minut dziesięć do pieca. Podawać w tem samym naczyniu.

SZNYCLE Z JAJ Z MIĘSEM.

Dwadzieścia deka jakiegokolwiek gotowanego lub pieczonego mięsa przepuścić przez maszynkę. Pięć jaj, ugotowanych na twardo, usiekać drobno i zmieszać z tem mięsem. Dodać 1 jajko surowe, wyrobić doskonale, osolić, popieprzyć. Na stolnicy, posypanej mąką, uformować z tego 5—6 sznycelków, posmarować rozbitym jajkiem, utarzać grubo w tartej bułeczce. Usmażyć na rumiano, jak zwykle sznycele,

na smalcu lub fryturze. Jeśli smażyć chcemy na maśle — dodać łyżkę oliwy: inaczej się przypala. Podać z przysmażanymi kartofelkami i ćwiartkami cytryny.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Aby uprać skórki zamszowe, trzeba je natrzeć szarem mydłem, a następnie namoczyć na dwie lub trzy godziny w lekkim roztworze sody, rozpuszczonej w gorącej wodzie. Wyprać, wygniatając tylko z brudu, aż do czystej wody, wypłókać w lekkim roztworze amonjaku, wycisnąć z wilgoci i płókać w letniej wodzie. Następnie wysuszyć w czystej ściereczce, wycisnąć, a po zupełnem wyschnięciu, wyszczotkować.

* * *

Mniejsze dywany po długim używaniu tracą sztywność i zawijają się. Ażeby tego nadal uniknąć, zgniecione miejsca trzeba wyrównać — dywan wyciągnąć, przypiąć pluskiewkami do podłogi, natrzeć ściereczką dobrze wilgotną i zostawić do wyschnięcia. Jeśli dywan jest zupełnie wiotki, trzeba dodać do wody, którą się go zwilża, trochę gumy w proszku, rozpuścić ją i tym płynem natrzeć dywan od spodu. Po wysuszeniu będzie sztywny i wszelkie załamki znikną.

Każda gospodyni, która pragnie dom prowadzić — oszczędnie, musi nabyć książeczki p. t.

„JAK ODRÓŻNIĆ TOWAR DOBRY OD ZŁEGO”

I. Owoce i jarzyny — II. Różne produkty spożywcze — III. Mięso i ryby
które uczą racjonalnego, a więc taniego kupowania produktów.

Cena każdej książeczki 1 zł. 50 gr.

Z przes. pocztową 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 13 555.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY. CZOPKI „VARICOL”
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

• kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk, Znak. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Remarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Dajmy pomoc Kresom Wschodnim (w odpowiedzi p. Persowskiej z Bytenia).

Gdy przeczytałam artykuł Drogiej Pani o waszych stosunkach i warunkach życia, zrobiło mi się dziwnie smutno na duszy. A więc to taka nagroda za krew przelaną Ojczyźnie! Ból, nędza, zniechęcenie, brak świątyni, gdzieby można ukość przed tronem Stwórcy swój smutek i zaczerpnąć hartu ducha na dalsze zmaganie się z ciężkim losem... Więc jednych mogiły rozsiane po całej Polsce, a może nawet już i śladu nie zostało, bo rolnik zaorał i wiatr przewrócił krzyże, naprędce sklecone przez towarzyszy:

„Śpij kolego, twarde łóżce“...

A drudzy?... Drugich na naszych rubieżach niszczą choroby, dzieci ich nie mają szkół i ubrań. Boże, jakie to smutne. A przecież to tak niedawno huczały działa, gdy Polska otrząsnęła się z długiego letargu, a ukochany Wódz, Józef Piłsudski, porwał najszlachetniejszą młodzież, by śladem swych praojców, upomnieć się o krzywdę, by skruszyć kajdany niewoli. Z jakim zapalem szła ta młodzież, wiem, bo mój mąż legjonista często mi opowiada, jak to było tam, na wojnie. Ile to tam było kochania, ile zapалу, ile wielkiego i wspaniałego ducha. Ucichło wszystko. „Śpij kolego, twarde łóżce“... a drudzy, drugich nędza gniecie!

A przecież dziś na grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie tyle wieńców błyszczy i prawie niema miasta w Polsce, żeby nie było Jego mogiły, ale to miejsce uprzywilejowane... i dobrze! to konieczne! bo tem czcimy pamięć wszystkich poległych dla wielkiej sprawy! Tylko że każdy futor na rubieżach Polski, to też żywy pomnik i o nim Polska, cały naród wie, dzieć i pamiętać powinien! Nam nie wolno zapominać, że pod temi strzechami słomianemi, daleko, na progu „Wielkiego Domu“, położył się, jak kiedyś Żółkiewski, były legjonista i na zew Ojczyzny przypomniał sobie przeszłe boje i pójdzie na nowe. Serce jego przywykło do miłowania rzeczy wielkich i świętych. Czyż to sprawiedliwe, by naród, korzystający z ofiary ich krwi, nie odplacił im się należycie? Czy tak być powinno?

Kochana Pani, choć Cię nie znam, choć taka niezmierna dal między nami, kocham Cię, i was wszystkich, bojownicy świętej sprawy, boście wywalczyli to, co tyle pokoleń widziało w snach.

Dziś, gdy tak wiele się mówi o pracy zbiorowej, tyle się pisze i tyle pięknych myśli wpłynęło do „Na-

szej Mównicy“, podnoszę jeszcze ja swój głos: dopomóżmy, odplacmy, zmienmy ten fatalny stan rzeczy! Tyle nas jest. Są wśród naszego grona bogate, średnio-zamożne i biedne, niech każda z nas wedle możliwości dołoży wysiłku. Zorganizujmy w całej Polsce pomoc społeczną dla osadników kresowych, bo państwo wszystkiego samo zrobić nie może. Jeżeli powstają towarzystwa przyjaciół miast i dzielnic, jak np. Tow. Przyjaciół Pomorza, Obrony Kresów Zachodnich, załóżmy Tow. Przyjaciół Osadników na Kresach Wschodnich. Zróbmy rzecz żywą i realną, dopomóżmy do wykończenia kościoła w Byteniu, zabiegajmy na wszelkich drogach i wszelkimi sposobami, aby otwarto tam szkoły, starajmy się o fundusze, kredyty, na zasiłki dla najbardziej potrzebujących.

Dowiedźmy im, że Polska jest dla nich matką i opiekunką.

W. Łęska — Krasne.

Kobieta tworzy szczęście w małżeństwie (w odpowiedzi na artykuł p. t. „Małżeństwo“ p. W. Dobrzańskiej).

Porusza pani bardzo aktualną i zawsze palącą sprawę doboru małżeństw i ich wspólnego życia. Dziwi się pani również, że tak mało kobiety na ten temat się wypowiadają.

Uważam, że wypowiadanie się w tej sprawie i „rady“ dawane nie bardzo pomogą istocie rzeczy — tu trzeba powoli życie i przyzwyczajenia stare, złe przerobić i iść z postępem czasu i cywilizacji. Żadne „10 przykazań małżeńskich“ dla nowożeńców nie rozwiążą sprawy. Życie samo w swej potędze i ewolucyjności sprawi, że ludzie, wchodzący w związki małżeńskie, odnajdą w sobie te wszystkie wartości i siły moralne, które niegdyś zaniedbali. A przedewszystkiem najwięcej tu pomóc może nowy, zdrowy system wychowania młodzieży i ustosunkowanie tejże do siebie. Gdy powoli, lecz systematycznie zacznie się zasypywać i wyrównywać przepaść, dzielącą od wieków psyche dziewczynki i chłopca, gdy umiejętnie będziemy wyrabiać u jednego i drugiego wysokie poczucie poszanowania indywidualności jednostki, gdy potrafimy wyplenić w młodych ich duszach egoizm i wygórowaną ambicję, nie ulega wątpliwości, że i małżeństwa będą szczęśliwsze.

Popatrzmy teraz zblizka, realnie na t. zw. „kojarzenie się małżeństw“. Łączą się często ze sobą ludzie

zupełnie różnych środowisk, upodobań, tradycji. Koło zainteresowań jednego i drugiego bywa często tak różne, że dziwić się wypada, czemu przypisać ich małżeństwo. Oczywiście, pchnął ich ku sobie popęd zmysłowy, lub kalkulacja finansowa. Ileż widzimy par, łączących się ze sobą dlatego tylko, że „ta buzia” lub „ten ideał zewnętrzny” zawrócił w głowie. I żadna perswazja tu nie pomoże, gdy są okoliczności sprzyjające.

Para taka, poznawszy się przelotnie na dancingu, w miejscowości kuracyjnej, lub w salonie, po krótkim poznaniu się i „zakochaniu” pobiera się. I często słyszymy po roku, że jest dramat, rozczarowanie, a nierzadko i rozwód! Czyż można się dziwić? Czy dwoje ludzi może się dobrze poznać w dzisiejszym zawrotnym tempie życia i użycia, w warunkach ciężkiej walki o byt, gdy czasu na analizę psychiki danej jednostki, nawet niema? Jedni się żenią i wychodzą za mąż dla polepszenia bytu, inni znów dla wypełnienia ciężającej ponad siły samotności, inni jeszcze dla uczynienia zadość fantazji, czy kaprysowi, często nawet aby zrobić komuś na złość!

A małżeństw z głębokiej miłości, bez wyrachowania jest znikoma ilość! I czyż wyżej wymienione małżeństwa można brać na serio i budować na nich podwaliny szczęścia, harmonji, zrozumienia i spokoju? Nigdy!

Ale nawet przypatrując się małżeństwom, zawartym z miłości prawdziwej, widzimy, że bywają kruche i nie zawsze harmonijne. Dzieje się tak, gdyż życie, brane zbyt szybko, pod pewnym „różowym” kątem widzenia, a nie takie, jakim ono jest w rzeczywistości, przynosi rozczarowanie. Gdy pierwsze uniesienia pierzchną i zaczynają się codzienne, pracowite, szare dni, ileż kobiet staje się zgorzkniałymi, ileż robi z siebie typy „zawiedzionych”, „niezrozumianych”, ileż staje się wprost histeryczkami, bo same nie wiedzą, czego chcą i czego im teraz brak!

Uważam, że rola mężczyzny często jest trudna, gdyż nie łatwo zrozumieć chimeryczne często fantazje żony! I widzę, że mężczyzna częściej teraz pragnie umilić życie kobiety, jak dawniej — więcej się z nią liczy i stosuje do niej; ale kobiety często nie oceniają tej dobrej woli męża, lub nudzi je ona. Duża wina złego pożycia małżeństw leży w nas samych. My nie umiemy ułożyć sobie życia logicznie. Zawsze nam czegoś brak, czegoś szukamy, coś sobie wmawiamy. Powodujemy się często lada głupstwem, wymysłem lub chorobliwą histerją, by z „igły zrobić widły”. Jesteśmy zbyt drobiazgowie i wścibskie, często nieznosne i zbyt impulsywne w stosunku do swego towarzysza „doli i niedoli” małżeńskiej i dlatego utyskujemy na ten w marzeniach wyśniony raj! Albo żądamy za wiele i nie możemy tego uzyskać i wówczas stale okazujemy swe niezadowolenie, albo przybieramy pozę męczennicy i z rezygnacją znosimy „okrutny los”, często własną nieudolnością postępowania wywołany. Trzeba umieć mężczyznę brać takim, jakim on jest naprawdę, nie idealizować go za bardzo, i nie traktować jako swego zbawcę! Mężczyzna jest ogólnie wpływowy i często da się urobić kobiecie kochającej na ta-

kiego, jakim ta widzieć go pragnie, naturalnie, o ile kobieta jest inteligentna i subtelna. Nie można też wszystkiego zła przypisywać w małżeństwie mężczyźnie, bo przecież wspólnie się to życie tworzy. Zdaje mi się, że rola kobiety w małżeństwie jest ogromna i przeważająca.

Od żony często zależy, jak życie się ułoży — w harmonijne, zgodne i ufnosci pełne, czy złożone z walk, tarć i podobne do piekła. My kobiety za mało umiemy filozoficznie patrzeć na świat, za mało mamy daru przystosowania się bez jęklowych narzekań, bujamy często w obłokach i marzymy o rzeczach nierealnych. Jesteśmy też zbyt krańcowe — i bierzemy otaczające nas fakty i wypadki albo za bardzo gorąco, entuzjastycznie i sercowo, lub znów mieszmamy wszystko z błotem, rzucamy obelgi i złe słowa! Takie postępowanie nie osłodzi życia we dwoje, nie rozjaśni, a doda kolców i zawodów i powoli stajemy się jedno wobec drugiego wrogiem.

Czasem zaczyna się to od błahostki. Bądźmy bardziej krytyczne — i wyrozumiałe. I jeszcze jedno, uważam, że kobiety za mało zastanawiają się nad wyborem przyszłego męża. Ma on przecież być towarzyszem na całe życie, przyjacielem, powiernikiem myśli, uczuć i czynów. Czy zastanawiamy się „głębiej” czy dany „Pan” odpowiada naszym walorom duchowym, upodobaniom, ideałom, naszej inteligencji? czy mamy jasno określony w duszy „swój typ”, o którym wiemy, że odpowie i nie zawiedzie?

Decydujący ten krok — małżeństwo, to nie ślepy los, ale nasz wybór, nasze żądanie — „tego chcę, a nie innego”.

Obserwując wiele, widzę niestety jednak, że takich wybranych losu jest mało, bo źle szukają, źle wybierają i nie umieją patrzeć, słuchać, obserwować. Małżeństwo, to nie wieczna idylla i uniesienie serc, to nie tylko szal rozkoszy i oddanie bez pamięci — to twarde, codzienne zmaganie się dwóch istot z niespodziankami życia, jego przeciwnościami i pokusami, przewrotem i walką. By w każdej fazie życia stać mocno, jedno przy drugim, by nie dać się porwać nurtom życia, zawrotnym i kuszącym a zwodniczym od boku męża, czy żony, na to trzeba mieć niezachwianą wiarę w to, że przy wybranym przez siebie człowieku jest nam najlepiej i że ten, a nie inny w zupełności nam odpowiada i wystarcza! Wtedy dojdziemy do ideału. Nie żądamy od życia za dużo. Bierzmy je takim, jakim ono jest, a wtedy napewno wiele myśli i czynów zgorzkniałych przepadnie, a małżeństwa unikną nieporozumień tak do dziś dnia częstych. Bo nie w niewolnictwie kobiety i jej bierności leży „katorga” jej życia, lecz w nieumiejętnym braniu faktów rzeczywistych w jej istnieniu, i wyciąganiu z nich racjonalnych konsekwencji. Bądźmy naprawdę mądre, taktowne, szanujmy cudze upodobania, przyzwyczajenia i myśli, nie ulegajmy tak łatwo *nplyroom zzerona*trz, a wówczas same zobaczymy, że życie we dwoje, oparte na zrozumieniu, doborze i zaufaniu zupełnem, umili tylko nasze bytowanie na ziemi i uczyni je lepszym, szczęśliwszym i pożyteczniejszym.

Halina Lubińska.

I dawne miały swoje zasługi (w odpowiedzi na artykuł p. Suffczyńskiej w Nr. 9 „Bluszczu“)

Artykuł p. Jadwigi Suffczyńskiej w Nr. 9 „Bluszczu“ p. t. „Nowy Zawód dla kobiet“ zasługuje, by się nad nim chwilę zastanowić. Że pielęgniarstwo po wojnie w Polsce szerokie zatacza kręgi, świadczy pięć szkół zawodowych pielęgniarstwach. Jest to jednakże zupełnie naturalna ewolucja, gdyż kobieta w nowo odrodzonej ojczyźnie idzie w „siedmiomilowych butach“, jak mówi jedna ze współczesnych publicystek. I wogóle kobieta ostatnich lat dziesiątka zdobywa zawody, o których przed wojną ani marzyła.

Ale, że do niedawna pielęgniarkami były kobiety bez żadnego wykształcenia, „rodzaj służby domowej“, jak określa autorka, nie można znów mówić. Gdyż mamy pomiędzy naszymi pielęgniarkami czynnymi osoby z dwudziesto i trzydziesto letnią praktyką zawodową, a świadectwa ich stwierdzają, że ukończyły szkoły pielęgniarstwa w niemieckich, rosyjskich, lub austriackich zaborach, gdzie pielęgniarstwo sporo lat przed wojną światową wyrosło już z niemowlęstwa. W zaborze rosyjskim i austriackim było pielęgniarstwo przeważnie w rękach sióstr zakonnych. W zaborze pruskim szpitale obsadzone były pielęgniarkami świeckimi, a było wiele między nimi polek... Słuszne jest, że się wymaga od współczesnej pielęgniarki określonego cenzusu naukowego, a na czas nauki zawodowej wyznacza się dwa lata, co przy obecnym rozwoju medycyny jest raczej mało. Ale czyż nie wymagamy dziś od każdego pracownika więcej, czyż nie doksztalcamy się wszyscy, jakiegokolwiek stanowiska społeczne zajmujemy, a czyż stopień inteligencji daje nam zawsze tylko matura? Ślicznie określa autorka, że najlepsza kobieta nie jest jeszcze dobrą na pielęgniarkę, i że poza prawością charakteru, musi mieć wielkie zamiłowanie do tego zawodu. Czy to ostatnie nie jest bodaj najważniejsze? Na żadnym stanowisku nie wymaga się od kobiety tak dużo, jak od pielęgniarki. Zupełnego zaparcia się siebie, wielkiego umiłowania wszelkiej niedoli ludzkiej, hartu ducha, jednym słowem pielęgniarka, idąc przez życie, musi zawsze i wszędzie czynić dobrze. Wyobraźmy sobie młodzieńca dziewczynę, mającą pod swą opieką trzydziestu a często i więcej chorych. Wiemy doskonale, jak się zmienia porządek naszego domu, gdy mamy w nim jednego chorego! Wyszkolona pielęgniarka z łatwością opanowuje nie tylko systematyczny porządek, ale indywidualną psychologię swych chorych, postępując tak, by dogodzić wszelkim ich życzeniom, gdyż najmniejsze rozdrażnienie odbija się na zdrowiu pacjenta, ale również najkapryśniejszy chory nie może przeszkodzić zwykłemu porządkowi obowiązków personelu. Że kobieta przez swe bogactwa indywidualne więcej nadaje się na pielęgniarkę, niktby nie mógł zaprzeczyć, choćby dlatego, że jest obdarzona większą intuicją i zdolnością poświęcenia. O zdolności poświęcenia kobiety świadczą cyfry z roku 1914, gdy kobiety różnych stanów i szczebli społecznych zgłosiły się na pomoc żołnierzom, pielęgnując zarówno swych rodaków, jak i wrogów. A pielęgniar

niarka w czasie wojny pracowała przeważnie bezinteresownie, lub za śmiesznie niską opłatą. Dzięki tym pionierkom pielęgniarstwa polskiego, żołnierz polski, wojujący w którejkolwiek armii, spotykał zawsze w szpitalu polską siostrzyczkę, której mógł mówą ojczystą powierzyć swoje bóle i troski, często ostatnie. Nie dyskwalifikujemy więc pierwszych kroków pielęgniarstwa, gdyż wszystko ma swój wiek niemowlęstwa i rozkwitu, a zatem i pielęgniarstwo. Szczęść mu Boże!

Róża Machórona — Poznań.

O praktyki religijne w szkołach (w odpowiedzi p. Ferencowi).

Odpowiedź p. Ferencowi p. Żyźniewskiej wywoła niewątpliwie z jej strony słowa protestu, ale artykuł p. Ferencowi jest tak znamienity, że pozwolę sobie na łamach „Mównicy“ odpowiedzieć również p. Ferencowi w sprawie „przymusu“ religijnego w szkołach.

Czy rzeczywiście „przymus“ istnieje i czy nie jest on jedynie wytworzony przez pewnych wychowawców szkolnych? P. Ferenc zauważył, że dziecko ochoczo naśladuje rodziców, widząc ich wybierających się do kościoła. Racja. Sądzę jednak, że tem chętniej dzieci naśladowałyby pp. nauczycieli, którzy są dla nich najwyższym autorytetem, gdyby widziały, że ci panowie również ochoczo idą z nimi do kościoła! „Przymus“ wytwarza się wtedy, gdy dzieci widzą złą minę nauczycielstwa, zmuszonego być w kościele, gdy widzą, że nauczyciel nie zegnije kolan wtedy, gdy oni klękają w czasie Mszy św. Gdy wreszcie dziecko nie słyszy w szkole, że pójdzie do kościoła, to nie przymus, a tylko prosty obowiązek, taki sam, jak nauczanie się lekcji, niespóźnianie do szkoły i t. d.

Ma zupełną słuszność p. Ferenc, że dziecko doskonale obserwuje i... naśladuje.

Przytaczanie natomiast faktów, mających dowodzić, że praktyki religijne nie są „potężnym środkiem wychowawczym“, nie wytrzymuje krytyki.

Zachowanie się dziatwy bez opieki przed kościołem, a potem w kościele, opisane przez p. Ferencę, daje smutne wyobrażenie o metodach pedagogicznych wychowawców szkoły, a już wybijanie szyb kamieniami gdziekolwiek, jest barbarzyństwem, niedopuszczalnym w żadnej poprawnie prowadzonej szkole.

P. Ferenc ma złudzenie, że nieudolność wychowawców można zasłonić tu „przymusem“ religijnym, ale jest to dowodzenie zbyt naiwne, aby ktokolwiek w to uwierzył.

Dla praktyk religijnych, według tezy p. Ferencę, niema miejsca w szkole.

Tu tkwi właśnie gwóźdź nieporozumienia między rodzicami, pragnącymi, aby kulturę religijną ich dzieciom dawała także i szkoła, a członkami Zw. N. S. P., którzy tę kulturę chcą przerzucić na dom rodzicielski jedynie i wyłącznie.

Katoliczka z Sandomierza.

Co robić po skończeniu szkoły zawodowej?

Niejednokrotnie na łamach „Bluszczu“ zachęcano w przekonujący sposób do otwierania jaknajwiększej ilości szkół zawodowych żeńskich, w myśl zasady, że tylko wybór zawodu podług ogólnych zdolności fizycznych i właściwości psychicznych dać może maksimum zadowolenia i zarobków. Wszelkie odrabianie suchych kawałków w biurze, czy wyliczanie kolumn cyfr — jednym słowem praca, którą trudno polubić — zacięży czasem, jak przymusowe kajdany.

W Łodzi jest kilka szkół zawodowych, z których wychodzą rok rocznie wykwalifikowane krawcowe, introligatorki, modystki, buchalterki, szewczynie czy kamaszniczki, kilimczarki, hafciarki i rozbiegają się, wsiąkają w masę ludzką, szukając, najczęściej bezskutecznie, pracy w swoim zawodzie.

Zimą tego roku obeszyliśmy z koleżanką kilka sklepów z kapeluszami, chcąc umieścić w którymś z nich uczenicę ze szkoły zawodowej, z dobrem świadectwem. Nie udało nam się nic zrobić! Magazyny wolą brać uczennice, które nic nie umieją, bo te im płacą za naukę, a taka panienska z „zawodówki“, która sama potrzebuje zarobić — nie kalkuluje się paniom właścicielkom magazynów.

Więc dużo uczennic szkół zawodowych nie pracuje w swoim fachu, a czepia się, czego może, bierze, co się da.

Po co ten cały wysiłek paroletni?

Trzebaby te rzeczy w jakiś sposób rozwiązać.

Czy nie mogłyby przełożone, czy kierowniczki jednośnych zakładów przyzwyczajać uczennice do społecznego ujmowania kwestji pracy?

Niechby uczennice po ukończeniu szkoły zawodowej tworzyły koła fachowe i na zasadach spółdzielni czy kooperatyw, tworzyły wspólnymi siłami warsztaty pracy, oparte na ostatnich zdobyczach techniki.

Tylko wspólnym wysiłkiem zainteresowanych możnaby coś stworzyć, aby nie pójść w życiu w destrukcyjną rozsypkę.

A gdyby tak uczennice szkół zawodowych już z chwilą wstąpienia do szkoły zaczęły odkładać na przyszłe warsztaty pracy?

Jest tysiące pomysłów na wydobywanie środków, gdy chodzi o tak zasadniczą podstawę bytu.

Nie wiem, może w innych miastach jest lepiej, bo o ile słyszę, w Łodzi są pod tym względem stosunki fatalne.

A może już istnieją takie spółdzielnie i rozwijają się?

Czy nie możnaby się dowiedzieć o tem za pośrednictwem „Mównicy“?

Mogłoby to mieć wpływ na mniej ruchliwe uczennice szkół zawodowych, którym tak często brak inicjatywy i zdolności organizacyjnych. *Łodzianka*

Kto chce mieć własny kącik?

Ponieważ w „Mównicy“ poruszane są różne sprawy, więc myślę że i mój projekt nie zadziwi nikogo.

Najpierw zaczynam o sobie. Jestem wdową, bez-

dzielną i samotną, marzę o tem, by na starość mieć swój własny kącik i być u siebie.

Mam małeńkie oszczędności, więc kupiłam kawaleczek ziemi pod miastem.

Teraz trzeba wybudować domek.

Czy nie znajdzie się taka, jak ja, samotna kobieta, która zechciałaby wejść ze mną do spółki? Zamiast płacić co miesiąc wysokie komorne i przenosić się ciągle, mieć swój własny pokój na zawsze?

Trzeba tylko na to parę tysięcy zł.

Gdyby której z Pań podobał się mój projekt, proszę o podanie do „Mównicy“ swego adresu.

Adres mój w redakcji.

Kresowianka.

Jak leczyć chorobę niedołęstwa?

W niektórych listach, drukowanych w „Naszej Mównicy“ a pozatem wiele razy prywatnie, słyszymy narzekania na ospałość życia na prowincji. W stolicy i w większych miastach kobiety ruszają się, mają dużo inicjatywy, dobre projekty, które wprowadzają w czyn; interesują się wszystkimi objawami życia społecznego i kulturalnego, dużo czytają. Ale jakże inaczej jest w małych miasteczkach!

Jestem mieszkanką takiej właśnie przysłowiowej „dziury“ prowincjonalnej. Niema tu żadnych rozrywek kulturalnych, prócz marnego kina. Pisma przychodzą, naturalnie, ale mało kto je prenumeruje. Czytelnia, gdzie możnaby dostać książki poważniejsze, lub prawdziwie dobrą beletrystykę — ani śladu; chwilami doprawdy rozpacz ogarnia. Zwłaszcza, gdy fundusze nie pozwalają na częste wyjazdy do większego miasta, a nawet na sprowadzanie sobie gazet i książek na własną rękę. Nie chodzi o zabawę, ale poprostu o udział w życiu, o jakąś myśl jaśniejszą. Próbowałam obudzić tu trochę zainteresowania życiem społecznym, bo do zrobienia napewno by się coś znalazło i to nie mało. Zwracałam uwagę w kółku swych znajomych na „Bluszcz“ i „Naszą Mównicę“: ile tu jest wiadomości i ile zachęty do pracy! Każda z pań przeczytała chętnie, ale żeby coś zrobić — tak daleko ich energia nie idzie, nie wytrzymuje takiej próby. Chciałam wreszcie, abyśmy stworzyły sobie biblioteczkę ruchomą; to przecież znana oddawna, stara rzecz. Kupować po kilka książek miesięcznie w kilka osób, czytać kolejno — mogłaby z czasem powstać biblioteka miejscowa. No — to się jeszcze dosyć podobało — ale rozbiło się o... rodzaj literatury. Ani rusz nie chciałam się zgodzić na Dekabrę i inne liche historie w tym rodzaju, a znów panie nie przyjęły mego katalogu. I znów osiadłam na lodzie. Co zrobić w takich warunkach? Co radzić? niech mi panie powiedzą — bo mnie już ręce opadają — ale przecież wiem, że jakaś rada na tego bakcyła inercji i ospałości być musi.

Niech panie-działaczki, które tyle robią i tak znają psychikę ludzi i życia, odpowiedzą mi, jak pomóc na taki stan rzeczy? Nie podaję nazwy mego miejsca zamieszkania, bo mi aż wstyd, ale Redakcja zna mój adres — a odpowiedzi oczekiwać będę niecierpliwie w „Mównicy“.

Stefanja R. z...